

TYGODNIK  
WSCHODNI

Biuro redakcyjne  
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

# relacje

LUBLIN, 25-31 V 1989 R.

NR 19

CENA 70 ZŁ

**PRZEDWYBORCZY  
PANEL „RELACJI”**

## WSPÓŁRZĄDZIĆ I NIE KŁAMAĆ

**K**OLEJNĄ dyskusję redakcyjną postanowiliśmy usytuować w samym centrum aktualnych wydarzeń politycznych. O polskich szansach, nadziejach i koniecznościach rozmawiali kandydaci na członków Zgromadzenia Narodowego z naszego regionu. Improwizując mini-sejsej parlamentu, chcieliśmy uzyskać sytuację przybliżoną do tej, jaką mieć będziemy po 4 czerwca. Uczestniczyli kandydaci na posłów: prof. dr hab. RYSZARD BENDER (Chrześcijańsko-Demokratyczne Stronnictwo Pracy) — kierownik Katedry Historii Nowożytnej KUL; prof. dr hab. KAZIMIERZ PIETROŃ (SD) — prorektor ds. nauki Akademii Medycznej w Lublinie; IZABELLA SIERAKOWSKA (PZPR) — prezes Zarządu Miejskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lublinie, oraz kandydaci na senatorów: doc. dr hab. KAZIMIERZ BIS (ZSL) — kierownik Zakładu Ekonomiki i Organizacji Produkcji Roślinnej IUNG w Puławach i — z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” — dr ADAM STANOWSKI — socjolog, wykładowca KUL. Ze strony redakcji uczestniczyli: Franciszek Płatkowski i Leszek Wiśniewski.

„RELACJE”: — Start do procesu przedwyborczego poprzedzony był obawami, że i tym razem nie uda się nas obudzić. Okazuje się jednak, że emocje, jakie się wyzwoliły, podparte są dużą dawką myślenia. To jest krzepiace i optymistyczne. Sądźmy, że i obecność państwa — ludzi nieobojętnych w naszej redakcji dowodzi tego optymizmu. Spróbujmy zatem wspólnie zastanowić się nad tym, gdzie i jak, w tej nowej sytuacji politycznej, rozgrywać się będą polskie sprawy?

Zanikają nakazowo-różdzielcze, kontrolne metody sterowania życiem gospodarczym i społecznym, pewnemu osłabieniu ulega funkcja centrum decyzyjnego. Czy wobec tego wizja i kształt Polski mają się rozgrywać nadal w Warszawie na zasadzie jedynie mądrych decyzji, czy też powinny i mogą być rozgrywane w obszarach pozastatecznych? Jeżeli tak, to jakie warunki należy spełnić tu, i w skali całego kraju, żeby ten proces przemian był skuteczny, głęboki i szybki? Dalej: czy polskie sprawy mają się rozstrzygać przede wszystkim w partii, czy także poza nią, co jest również bardzo ważne? A dalej: czy główne nasze problemy zdecydowały się w obrębie hegemonicznej klasy robotniczej, czy też pojawiają się inne ważne przesłanki. Istotne czynniki rozwoju? Może należałoby przestawić akcent na spauperyzowaną warstwę inteligencji?

Znajdujemy się w sytuacji, którą można określić jako wyjątkowe wywołanie infrastruktury społecznej, a także ekonomicznej; zagluszona została ludzka przedsiębiorczość, aktywność, inicjatywa, skłonność dokonywania wyborów. Jak uzdatnić infrastrukturę społeczną, jak spulchnić ją na nowo również tu — w Lublinie, na Lubelszczyźnie i w obszarach Lubelszczyźnie podobnych?

**RYSZARD BENDER:** — System autorytarnego rządzenia krajem, w jaki weszliśmy w okresie stalinowsko-bierutowski, sprawił, że Warszawa miast symbolizować wspólne dążenie kraju, być wewnątrznie akceptowanym spoiwem odrodzonego państwa, stała się czynnikiem drenującym kraj, wysysała to wszystko, co było poza sto-

licą najcenniejszego. Spójrzmy: „prze-transportowano” Polską Akademię Umiejętności z Krakowa do Warszawy i zmieniono w Polską Akademię Nauk. Ona ma ogromne zasługi, lecz czy trzeba było dokonywać tej transformacji w trybie administracyjnym? Czy trzeba było likwidować towarzystwa naukowe, przemysłowo-handlowe, regionalne stowarzyszenia zawodowe itd.? Odebrano autonomię lekarzom, kupcom, adwokatom. Warszawa upaństawiła, formalizowała, tworzyła spetryfikowane struktury. Dziś przeżywamy renesans wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, związków, organizacji — one się odradzają, powstają nowe, obserwujemy nawrót do tradycyjnych form zrzeszania się. Świadczy to o niepoddawaniu się społeczeństwa władzy Warszawy, ale zarówno władzy, jak i Warszawy w złym tego słowa znaczeniu.

System nakazowy wytworzył sytuację silnej animozji — z jednej strony, a pewnego fatalizmu w myśleniu politycznym — z drugiej. Polegał on na przeświadczeniu, że bez Warszawy nie da się nic zrobić, zwłaszcza kariery. Tylko odpornejsze jednostki pozostawały w tzw. terenie, z nim wiązały możliwość działania i ambicje zawodowe. Zdecydowana większość wyjeżdżała, ulegała zmianierowaniu i zmianierowaniu.

Dziś dostrzegam ogromną chęć odreagowania tamtej sytuacji. Dążenie do uczynienia, zbudowania czegoś tu, na miejscu, czegoś z pewnością mniej-szego, lecz takiego, co pozwoliłoby wyprostować wypaczony obraz kraju, co przywróciłoby pewną naturalną równowagę. Myślę, że zrozumiała to opozycja. Przy „okrągłym stole”, gdzie



Elena Peterczuk jest dziewczyną południowej urody, południowej energii i południowego temperamentu — str. 4.

Fot. Waldemar Piasecki

uczestniczyłem w zespole reform politycznych po stronie opozycyjno-solidarnościowej, nadała ona tym sprawom dużą rangę: sprawom decentralizacji decyzji, uspołecznienia procesów decyzyjnych, uwłaszczenia regionów. Nie prowincji! Ilustracją tego, o czym mówię, jest przedwyborcza aktywność opozycji w terenie. Wszyscy niemal czołowi działacze opozycji kandydowali poza Warszawą. Dlaczego? Przypuszczam dlatego, że chcą zająć miejsca opuszczone na prowincji przez establishment partyjny. Chcą wypełnić pewną próżnię w przestrzeni politycznej, przeświadczeni o tym, że wiele spraw właśnie w regionach się rozstrzygnie.

**KAZIMIERZ BIS:** — Dostrzegają, że nie ma kadry w terenie. Bo ona odeszła do... Warszawy.

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — Państwo znów mówicie o tym, co było kiedyś. Zarzucałście zawsze partii i centrali dominację, przywożenie kandydatów w teczkach. A czy wy teraz nie robicie tego samego?

**RYSZARD BENDER:** — Owszem, słyszy się takie zarzuty i zgadzam się, że pewne analogie mogą się tu nasuwać. Ze część osób, będących dziś po stronie opozycyjnej, przeniosła ze sobą partyjne metody działania. Przeszli metamorfozę ideową, lecz metody są — a rebours — metodami władzy. A jednak podtrzymują, co powiedziałem, że opozycja ma świadomość niezagospodarowania „prowincji” i ruszyła gremialnie na jej podbój. Powiedział-

Ciąg dalszy na str. 2-3.



# WSPÓŁRZĄDZIĆ I NIE KŁAMAĆ

śla, przesyłałiśmy własne wizje do centrali warszawskiej i co? Jednego zdania, jednej myśli nie pozostało z naszych koncepcji.

**RYSZARD BENDER:** — Pogodzenie się z tym faktem uważam, podobnie jak kolega Stanowski, za największy grzech ZSL i SD. Otrząsano się z tego dopiero, gdy przychodziła odwilż, chwilowo. Potem wracano do starego schematu. Wjeżdżano na powrót w koleinę usłużności. Natomiast te stronnictwa, które się z taką rolą nie chciały pogodzić, zostały piorunem zlikwidowane. Nie dopuszczono do pierwszych wyborów Stronnictwa Narodowego, choć Jalta wyraźnie mówiła o udziale wszystkich ugrupowań z wyjątkiem tych, które współpracowały z Niemcami. A ktoś w Polsce współpracował z Niemcami, toż to przecież absurd! Zlikwidowano Stronnictwo Pracy, potem PSL, PPS-WRN. W to miejsce powoływano fałszywki, podstawiano swoich ludzi do zdemolowanych wcześniej kierownictw, by pacyfikować te partie. Przykłady działalności Chajna w Stronnictwie Demokratycznym, Widy-Wirskiego w Stronnictwie Pracy, czy Cyrankiewicza i innych w PPS, są dowodem tego cynizmu politycznego.

Czego obawiam się dzisiaj w związku z tym, o czym mówimy? Otóż obserwuję takie pomieszanie pojęć politycznych, przetrząsanie starego lamusa idei i etykiety partyjnych, iż boję się, że źle wszyscy na tym mieszkaniu wyjdziemy. Dotyczy to na równi władzy, tj. koalicji, jak i opozycji. Należy oczywiście cieszyć się, że zaistnieje dualizm władzy, do tej pory monopolistycznej — to jest duża



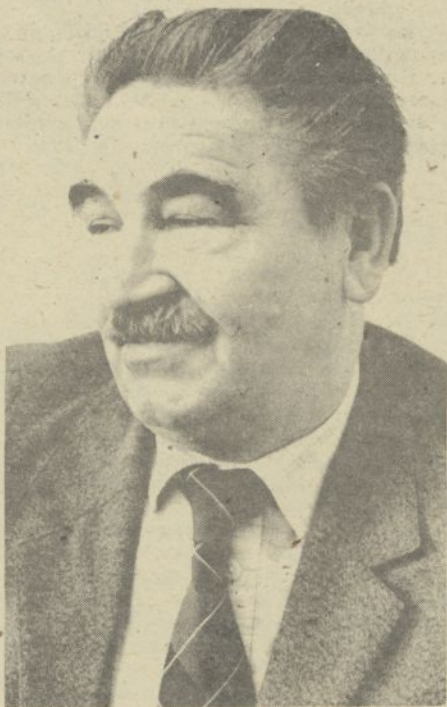
Ryszard Bender

prawa. Lecz pamiętajmy, że nie możemy na tym poprzestać — na dualizmie. Ze jeżeli z jednej strony pojawiają się coraz mniej fasadowe stronnictwa koalicyjne, to z drugiej opozycji muszą pojawić się partie polityczne obok monolitycznego Komitetu Obywatelskiego, mogącego być ich oparciem. Inaczej nie doczekamy się autentycznej demokracji. Mówiłem o tym w Sejmie 7 kwietnia, domagając się prawa do istnienia obok chrześcijańskiej demokracji także i PPS. Choć to może nie moja rzecz, bo jestem przeciwnikiem socjalizmu i kolektywizmu pod każdą postacią i, mimo że prosili mnie o tę głoszę niektórzy posłowie PZPR, A jednak przeszła mi przez gardło, bo uważałem to za ważne z demokratycznych przesłanek.

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — A dlaczego nie powiedział im pan, żeby wystąpili sami?

**RYSZARD BENDER:** — Powiedziałem. A jednocześnie uważałem, że być może był to mój sejmowy labędzi śpiew. I dodałem, że muszą zaistnieć partie polityczne także po stronie opozycyjnej. I to podtrzymuję!

„RELACJE”: — Warunkiem takiego rozwarstwienia obozu władzy i opozycji, o jakim mówi pan profesor Bender, jest posiadanie naturalnego zaplecza politycznego. Zostanmy przy PZPR. Czy partia ta posiada takowe zaplecze, czy ma ona własny



Kazimierz Bis

elektorat, do którego się odwołuje i o którego interesy walczy? Teraz pytanie kolejne: na ile to nowe zagospodarowanie sceny politycznej w Polsce jest wymuszone przez sytuację, a na ile jest to świadoma decyzja partii rządzącej bądź co bądź, podjęta na X Plenum i podtrzymywana w całości do tej pory?

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — Naturalnie nie czuję się upoważniona do odpowiadania za całą partię, niemniej sędzę, że należę do partii zupełnie innej niż ta, do jakiej się panowie przyzwyczailiście. Partii, która zaczęła się odradzać na IX Nadzwyczajnym Zjeździe, mówiła pełniejszym i prawdziwszym głosem swoich szeregowych członków na X Zjeździe, a wypowiedziała się w sposób rzeczywiście nowy i nowoczesny na X Plenum. To plenum zaważyło przecież na tym wszystkim, co się dzisiaj dzieje w kraju. To nie jest ta sama partia, panowie!

**RYSZARD BENDER:** — Chcemy w to wierzyć...

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — Ja wierzę! Co się zaś tyczy zaplecza PZPR, sędzę, że mamy i takie zaplecze, i dobry program polityczny, nie gorszy, sędzę, od tego, o którym mówił profesor Pietron, ani od programu Komitetu Obywatelskiego. Ten ostatni, zresztą, bardzo mi się podoba. I ponieważ jest to nowa sytuacja, i nowa partia, nie można szermować wciąż starym hasłem, że programy partii są skompromitowane, że partii nie wolno wierzyć, bo wiele spraw nie zostało zrobionych. Dzisiejsze programy wyborcze są w wielu sprawach podobne, w niektórych identyczne. Sędzę, że zarówno naszym sojusznikom ze stronnictw, „Solidarności”, jak też i nam, chodzi o jedno — o dobro całego narodu. I mnie, panie profesorze Ben-



Izabella Sierakowska

der, jest naprawdę wszystko jedno, czy orzeł będzie miał koronę, czy nie. Byleby pod tym orłem cały naród się zmiescił.

**RYSZARD BENDER:** — Kiedyś partyzanci z Gwardii Ludowej nosili zamiast orla czerwony trójkąt. I to było ważne! Nawet najlepszy program dla Polaków przy czerwonym trójkącie nie jest tym samym, co przy białym orle. Dziś orzeł bez korony jest dla wielu Polaków, a przecież tych też trzeba uwzględnić, brakiem respektu dla rzeczy ważnych w naszej historii i dla przyszłości.

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — Panu wolno mieć takie zdanie, choć ja mam inne. Ale zostawmy to, chciałabym o czym innym powiedzieć. Słuchałam niedawno audycji radia „Solidarności” i nie podoba mi się sposób prowadzenia agitacji wyborczej. Odbywa się to na zasadzie: innych cię! Tak chyba nie można, przecież to nie jest nieważne, kto będzie reprezentował społeczeństwo z mandatu PZPR, ZSL czy SD. Chyba to nie jest obojętne, kto wejdzie do tego Sejmu, nawet jeśli jest przeciwnikiem? Chyba nie jest ważny mandat, tylko człowiek i to, co sobą reprezentuje. Przecież ci kandydujący członkowie partii reprezentują nie tylko siebie. Pod moim mandatem podpisali się na przykład licznie także i bezpartyjni.



Kazimierz Pietron

**KAZIMIERZ PIETRON:** — Pod moim również. A raczej pod propozycjami SD. Jako współtwórca programu XIV Kongresu uważam, że jest on dla wielu ludzi atrakcyjny. Byłbym w ogóle zdania, że należy głosować na programy, mogące się różnić, bądź upodobać, a nie na ludzi.

**RYSZARD BENDER:** — Przeciwnie, profesorze, także na ludzi trzeba stawiać, na ludzi...

**ADAM STANOWSKI:** — Ciągłe mam wrażenie, że uciekamy od postawionych nam pytań. Ale, póki co, chciałbym ustosunkować się do wypowiedzi pani Sierakowskiej. Czuję się w obowiązku odpowiedzieć pani z całą szczerością. Różnica między nami polega na doświadczeniu historycznym i to jest różnica nie tyle poglądów, co wieku, doświadczeń. Pani powiada: nowa partia. Ja przeżyłem już sześć nowych partii i sześć pokoleń moich przysiadków, którzy próbowali odnawiać partię i z tych „odnowionych” partii — zaraz potem odchodzili. Boję się, że pani będzie tym siódmym pokoleniem, które zostanie z PZPR usunięte albo samo odejdzie! Wydaje mi się, że w tej partii jest zakodowany mechanizm sprawiający, że wszelkie próby jej odnawiania od wewnątrz kończą się tak, jak kończyły się do tej pory. Ostatnie pokolenie odeszło z partii po wprowadzeniu stanu wojennego. Bardzo mi przykro, ale takie jest moje czterdziestoletnie doświadczenie w obcowaniu z komunistami. I dlatego na pytanie: co jest naturalnym zapleczem politycznym partii, odpowiadam — nomenklatura. Jedynym zapleczem; to jest partia właścicieli Polski Ludowej. Partia jest strukturą wyrażającą ich polityczne interesy.

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — Absolutnie, nie! Partia od nomenklatury odchodzi. Deklaracja ostatniej Krajowej Konferencji Delegatów PZPR określa to wyraźnie, proszę: „Partia jest za tym, aby stanowiska kierownicze zajmowały osoby najbardziej u-



Adam Stanowski

zdolnione o najwyższych kwalifikacjach”.

**ADAM STANOWSKI:** — Tak?! To proszę o zaprotokółowanie. Przekonamy się za parę lat. Ja, niestety, dalej nie wierzę w możliwość takiej przemiany partii. Nie zgadzam się także z tezą, że powielamy taktykę partyjną przysyłania kandydatów z Warszawy w teren. Tak się składa, że uczestniczyłem przy opracowywaniu listy kandydatów Komitetu Obywatelskiego i mogę zapewnić, że żadnych manipulacji ani nacisków nie było. Przedstawiliśmy propozycje kandydatur „centralnych” i komitety obywatelskie w terenie, jeśli chciały, mogły takich kandydatów wstawiać na własne listy. Była całkowita swoboda. A już absolutnie nie podzielałam stanowiska, w którego myśl posłowie mają reprezentować regiony, skąd pochodzą czy też skąd zostali wybrani. Nie zgadzam się, żebyśmy mieli powrócić do instrukcji sejmikowych — posłów, reprezentantów interesów swoich ziem.

Wracając do pytania podstawowego naszej tu dyskusji — uważam je za retoryczne. Wszyscy mamy wspólną odpowiedź na to, gdzie rozegra się Polska i jaka musi być rola tego, co dzieje się w terenie. Dużo istotniejsze wydaje mi się drugie pytanie — to jakie warunki muszą być spełnione, by te polskie sprawy wygrać. Jakie warunki muszą zaistnieć w terenie i nie tyle w Warszawie, ile w systemie społeczno-politycznym kraju. Dla mnie podstawowy warunek — to przywrócenie, odrodzenie samorządu terytorialnego. Tego samorządu, który został zlikwidowany w 1952 roku i zastąpiony systemem radzieckim. Rady narodowe nie były i nie są samorządem terytorialnym. Zupełnie absurdalnym jest dla mnie tytuł uchwalonej rok temu ustawy o „Terenowych organach władzy i samorządzie terytorialnym”. Jest to kompletny absurd! Ustawa o prokuratorze i obrońcy w jednej osobie! Albo coś jest przedstawicielstwem władzy państwowej wobec terenu, albo jest samorządem mieszkańców tego terenu, który ma określony zakres uprawnień i w ich ramach sam decyduje. I tu jest miejsce dla troski o teren. Sejm jest od tego, żeby uchwalił ustawę o samorządzie!

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — Mądrą ustawę.

**ADAM STANOWSKI:** — Pojawia się tu jednak pewne niebezpieczeństwo związane z decentralizacją.

**IZABELLA SIERAKOWSKA:** — ...do której nie jesteśmy przyzwyczajeni.

**ADAM STANOWSKI:** — A to już zupełnie inna sprawa! Otóż ja się w tym tak zwanym terenie spotykam z opinią: wolę mieć do czynienia z mądrym ministrem, niż z głupim wojewodą.

**KAZIMIERZ BIS:** — Tym bardziej, że o tych drugich jest jednak łatwiej...

**ADAM STANOWSKI:** — Raczej tak. Moja obawa dotyczy strony finansowej całego przedsięwzięcia pod tytułem samorząd. Samorząd oznacza bowiem pełną samodzielność finansową i materialną. Ma wydzielone podatki, z którymi robi, co chce. Ja się pytam, czy przy dzisiejszym układzie podatkowo-własnościowym może on mieć samodzielność?

Dokończenie na str. 14

## KORESPONDENCJA WŁASNA Z BRZEŚCIA

## BLISKI WSCHÓD, BLISKI ZACHÓD

Waldemar Piasecki

**D**OCHODZI siedemnasta piętnaście. Tatiana przelacza kanał telewizora. Na ekranie pojawia się plansza „Teleexpressu” i slychać znajomy sygnał. Dobiega on zresztą z wielu okien okolicznych domów. Jest ciepło, balkon otwarty, slychać.

— To u nas, w Brześciu, normalne — mówi gospodyni. — Polską telewizję ogląda się na okrągło. Poza „Teleexpressem”, „Panoramą Dnia”, filmami, najchętniej programy satelitarne „Blżej świata”. Nikt nie przeszkadza, nawet gazeta „Zanias” drukuje polski program telewizyjny...

Tatiana Karwiakowa jest scenografką Brzeskiego Teatru Obwodowego imienia Leninowskiego Komsomolu Białorusi. Jej mąż — reżyserem. Dzięki niemu zaczęła uczyć się polskiego. Rozumie wszystko, mówi mniej, dobrze czyta. W ich domu są polskie książki, polska prasa, głównie teatralna („Scena”, „Ekran”, „Film”, „Teatr”). Jej pracownia jest dokładnie obwieszona plakatami teatralnymi najlepszych scen polskich. Tania jest en vogue z naszymi wydarzeniami teatralnymi i zaskakuje mnie, ot choćby, pytaniem o realizację „Hamleta” Andrzeja Wajdy, w której tytułową rolę ma zagrać Teresa Budzisz-Krzyżanowska. Opowiada też, jaką sensacją było „Białe małżeństwo” Różewicza w reżyserii Rozhina, pokazane w kwietniu brzeskiej publiczności. Młodzież była zafascynowana, bo nagość na scenie jest tutaj ewenementem nie tylko teatralnym, ale obyczajowym w ogóle. Byli jednak także krytycy występujący z protestami.

Przy okazji nagości rozmowa schedzi na głośny film „Mała Wiera” Wasilija Piczula z Natalią Niegodą w roli tytułowej. Obejrzało go już w ZSRR ponad sześćdziesiąt milionów widzów. Przeważa opinia, że film pokazuje kawał prawdy o młodzieży radzieckiej, niekoniecznie realizującej się tylko w Komsomole, ale także poprzez seks, alkohol, narkotyki. Młodzieży zagubionej, rozczarowanej ideowo, skonfliktowanej z rodzicami i otoczeniem. Natalia Niegodą wszystko to uosabia, a ponieważ znaczną część filmu obejmują ostre sceny erotyczne, w których naga aktorka gra bardzo sugestywnie, cały obraz tak bardzo jednych ekscytuje, a innych — oburza. Gdy jeszcze okazało się, że dwudziestopięcioletnia gwiazda dała się fotografować dla „Playboya” (numer majowy wydania amerykańskiego), kiedy przebywała na festiwalu filmowym w Chicago (otrzymała tam nagrodę dla najlepszej aktorki, a film Grand Prix), nie brakowało ludzi odsądających ją od czci i wiary. „Mała Wiera” przeleżała na półce trzy lata, a jej skierowanie do dystrybucji łączy się z „glasnostią” w sposób jednoznaczny.

Chciałem obejrzać film w Brześciu, ale okazało się, że go nie grają. Znajomy znajomych, który ma go na kasety video, był poza miastem. Zresztą, skoro już o video, magnetowid przestaje być symbolem perwersyjnego luksusu i owocem zakazanym. Mimo iż kosztuje, w zależności od marki, od czterech do pięciu tysięcy rubli, zdobywa się na taki zakup coraz więcej Rosjan. Prawda, że pracujących w sektorze spółdzielczym albo w zawodach artystycznych związanych z możliwościami zarabiania, a także osób o niejasnych źródłach dochodów. Repertuar video u naszych sąsiadów nie odbiega zasadniczo od polskiego. Zresztą kopie trafiają tu głównie z Polski. Hitem jest obecnie film „Czerwona gorączka”, w którym Arnold Schwarzenegger gra kapitana radzieckiej milicji Iwana Dańko, tropiącego w Chicago szefa moskiewskiego podziemia — Rostowa. Znany jest również Sylvester Stallone. Nie trzeba dodawać, że boom video także wiązany jest z „glasnostią”.

Rozmawiamy o tych sprawach, jedząc znakomitą kolację przygotowaną przez mamę, Tatię. Towarzystwo powiększyło się zresztą o aktorów brzeskiego teatru: Elenę Peterczuk oraz małżeństwo Galę Łaskinę i Olegę Katuszczyka. Wszyscy oni niedawno byli w Lublinie na Wiosnie Teatralnej, gdzie pokazali „Dzieci Arbatu”. Był to ich

pierwszy wyjazd artystyczny za granicę i pierwsza wizyta w Polsce w ogóle. Są pod wrażeniem. Nie spodziewali się tak serdecznego stosunku ze strony Polaków. I nie chodzi już o to, że Andrzej Rozhin podejmował swoich radzieckich gości po słowiańsku, że była gala, bankiet, najlepszy hotel. Nie tylko o to. Najważniejsze, ich zdaniem, rzeczy zdarzały się w kontaktach międzyludzkich. Lubelscy aktorzy potraktowali ich jak członków rodzin, zapraszali do domów, w których dzieci szybko zaczęły do nich mówić „ciociu”, „wujku”, a serce leżało na stole. Zresztą odnosiło się to nie tylko do aktorów z Teatru Osterwy. Tatiana Karwiakowa spotkała na premierze swego kolegę ze studiów w Leningradzie (zaraz dodaje, że starszego) Tomasza Jajworskiego, dziś dyrektora Teatru Lalki i Aktora. No i przyjaźń szybko rozszerzyła się na sfery lalkarskie.

**W**IĘC było zaskoczenie Polakami. Mówią o tym wprost. Być może jeszcze trzy—cztery lata temu komplement, że mieszkaniec ZSRR przyjemnie się rozczarował obywatelem PRL, nie przeszedłby przez usta z powodu wewnętrznej cenzury „ideologicznej”. Jakże to? Jeden blok, jeden sojusz,



Tatiana Kowalewska przed wyjściem na scenę.

Fot. Waldemar Piasecki

jeden socjalizm i jakieś wątpliwości? Dziś — nie. Już nie. Mówią mi, że obraz Polaka dla przeciętnego brzeszczanina kształtowany jest przez „polski bazar”. Polaka z wypakowanymi torbami, ubranego w dżins i od niechcenia popalającego długie papierosy. Polaka z ociąganiem otwierającego swój majdan, żeby pokazać szminki, ciennie czy majtki-siedmiopiółki. Polaka-cwaniaka traktującego ich z poczuciem wyższości. Polaka, który jeździ, gdzie chce, handluje i ma. Kto wie właśnie, czy to „ma” i zamilowanie do obnoszenia się z nim nie uwiera najbardziej. Ich. Więc kiedy zobaczyli Polaków innych, szalonych w swej gościnności i skoncentrowanych na gościach zza Bugu jak na osobach zupełnie wyjątkowych, byli zaskoczeni. Mówią mi, że sprawdziło się ich przysłowie, że lepiej raz zobaczyć, niż sto razy usłyszeć. Zwłaszcza, że tego słuchania przez czterdzieści lat było dużo.

Inny dom. Nikołaja Aleksandrowa, dziennikarza „Zarii”, poety. Kolej znam od 1985 roku. Poznaliśmy się na obchodach Dnia Pobedy w Brześciu. Jeżeli ktoś by mnie spytał, na czym polega dusza rosyjska, poznałbym go z Aleksandrowem. Siedzimy więc u Koli. Jest 5 maja. Dzień Prasy Radzieckiej i moje imieniny (Dzień Angiela — jak tu mówią). Powody są wystarczające, żeby wspomóc spontaniczne kontakty kilkoma toastami. Rozmawiamy o wyborach u nich i zbliżających się u nas. O reformach Gorbaczowa, jego przeciwnikach i sojusznikach. W końcu, jak

zwykle w takich razach, Kola idzie do biurka i wyjmuje swoje wiersze. Czyta. Realizm magiczny duszy rosyjskiej. Poezja i polityka, Marzenia, nadzieja. I wiara. Kola wierzy w sukces „pierestrojki”.

— Nie mogę inaczej. Jestem komunistą — powie.

Tatiana Kowalewska jest typową a-mantką. Złotowłosa, delikatnej urody dziewczyna gra na brzeskiej scenie dużo. Dziś w komedii kryminalnej Roberta Thomasa „Pulapka na mężczyznę”; w Lublinie świetna w „Dzieciach Arbatu”. Studia kończyła w Mińsku. Grała już w filmie. Dwadzieścia cztery lata wdzięku i talentu. Dziadkowie Tania byli Polakami, stąd nazwisko. Jest jedynaczką. Wychowywał ją ojciec, bo matka Tani zmarła, gdy Tania była dzieckiem. Mówi o nim z szacunkiem, bo wiele poświęcił dla edukacji córki. Kowalewski senior jest instalatorem sieci wysokiego napięcia. Pracuje za Uralem. Montuje sieć na wysokościach do trzydziestu metrów. Jest człowiekiem bez strachu. Tania mieszka w mieszkaniu hotelowym. W trzech pokojach cztery aktorki i jeden aktor. W Brześciu o mieszkaniu trudno. Zwłaszcza, gdy się jest krótko po studiach i panhą.

W komedii Tania gra brawurowo rolę agentki policyjnej, która wcieliła się w postać rzekomo zaginionej żony głównego bohatera, faktycznie zamordowanej przez męża dla spadku. Rzecz kończy się dobrze, bo doprowadzony do obłędu mąż-zabójca wyznaje na koniec inspektorowi, że Tania nie może być jego żoną, bo on swoją żonę nieestety zabił i zakopał.

Kowalewska również poczuła się zaskoczona Polką. Chciałaby kiedyś zagrać w polskim teatrze czy filmie.

Oleg Katuszczyk i Gala Łaskina są małżeństwem. Razem studiowali w Woroneżu aktorstwo. Do Brześcia przyjechali w tym roku. Porzucili teatr w Czerkiesku, bo wiele słyszeli o niepowtarzalnej atmosferze Brześcia, miasta pogranicza i przemierzania Wschodu i Zachodu. Mimo krótkiego pobytu Oleg jest już postacią bardzo popularną. Nie tylko z racji aktorstwa. Jest również utalentowanym wykonawcą ballad do wierszy poetów rosyjskich zamieszkałych zarówno w ZSRR, jak też poza krajem. Śpiewa m.in. Galicza, Rozenbauma, Dolskiego, Suchanowa, Nikitina, Bagurina oraz klasyków: Okudźawę i Wysockiego. Próbuje również sam pisać i komponować. Oleg jest więc w Brześciu i okolicy rozchwytywany, zapraszany na występy z różnych okazji. Nastolatki podkochują się w nim, przynoszą kwiaty, proszą o autografy. Żona znosi te przejawy uwagi ze spokojem. Sama zresztą również śpiewa i gra na gitarze. Czasami występują razem z Olegiem. Gala gra na zmianę z Tanią Kowalewską rolę sprytniej agentki w „Pulapce”. Jest uosobieniem humoru i żywiołu. Po wizycie w Polsce Oleg zapoznał się w rozmówce rosyjsko-polskiej i słownik oraz rozpoczął naukę polskiego.

**W**LADYSŁAW Kawko, malarz, scenograf i wielki adorator Salvadora Dali przyznaje, że jest pół-Polakiem. Synem Polaka, który przeszedł gehennę obozów hitlerowskich. Po wojnie do domu wrócił dopiero w połowie lat pięćdziesiątych. Z Syberii. Władek nastawia płytę Stańki i słuchamy jazzu pod „Wyborową”. Ściany pokoju pokrywają obrazy gospodarza i półki z książkami. Wiele z nich, polskich, chciałbym mieć w swojej bibliotece domowej. Kawko często bywa na plenerach w Polsce, a jeszcze w tym roku w Pile będzie miał swoją wystawę autorską. Siedzimy, rozmawiamy. W pewnym momencie Władek spogląda na zegarek i mówi: „No to może obejrzymy dziennik”. I na ekranie pojawia się redaktor Świerczyński.

Po dzienniku i ustaleniu, że w Polsce nic się nie zmieniło od „Teleexpressu”, rozmawiamy o plastycie radzieckiej, na którą zapotrzebowanie w świecie jest ogromne, a co potwierdziła m.in. głośna aukcja przygotowana przez Southeby's w Moskwie latem ubiegłego roku. Jest to na pewno kolejny przejaw „pierestrojki”, ale prawdą jest i to, że tego wyjechała na świat plastycy moskiewscy strzegą dość zazdrośnie. Mimo to Władek nie narzeka. Ma swoją pozycję i nie musi się o nią martwić. Właśnie teraz w Brześciu można oglądać siedem jego prac w wystawie zbiorowej.

Innego rodzaju wrażen dostarczyła mi Elena Peterczuk, aktorka sceny brzeskiej. Zaproponowała program, który można by zatytułować „Dzień z życia gwiazdy”. Po kolei. Siódma rano zakupy. Powrót. Karmienie półtorarocznej Lidy. Dziecko na wózek i do autobusu. Przepychanie w tłoku. Dziecko do teściowej. Autobusem na próbę. Autobusem do teściowej. Dziecko na wózek. Autobus. Po drodze zakupy. Gotowanie obiadu. Dziecko do łóżka. Obiad. Jest już trzecia. Sprzątanie mieszkania. Dziecko na wózek. Teściowa. Do teatru na spektakl. Po dziecko. Autobus. Dom. Kolacja. Dochodzi jedenasta. Aby do świtu.

Mąż Eleny jest weteranem wojny afgańskiej. Inwalida, trzykrotnie ranny, trzykrotnie palił się w swojej ciężarówce. Kilkanascie razy przeżywał śmierć kolegów ginących na jego oczach, czasem na jego rękach. Żołnierz niepotrzebnej wojny. Jeden z półtora miliona. Dziś jest kierowcą w brzeskim teatrze. To, że powrócił do normalnego życia, jest zasługą Eleny. I tyle powinno zostać powiedziane. Afganistan zostawmy na inny raz.

Elena Peterczuk jest dziewczyną południowej urody, południowej energii i południowego temperamentu. Mimo że jest pół-Białorusinką i pół-Ukraińką. Wychowywana przez matkę ciężko pracującą fizycznie, zmarłą przed dwoma laty. Jej imię nosi dziś córka Eleny. Ojciec zmarł, gdy Elena miała sześć lat.

Gdy widzę z jaką energią przebijają się przez życie, gdy patrzę, co potrafi na scenie, pozostając na niej przez półtorej godziny, a wypowiadając dokładnie dwa zdania, myślę sobie, że to już nie jest talent artystyczny, ale po prostu życiowy. Talent do przeżywania życia według siebie samej. Własnego.

Elena Peterczuk w szóstym sezonie swej pracy aktorskiej zarabia 120 rubli i w ramach tej pensji wychodzi na scenę dwadzieścia razy w miesiącu. Średnia pensja w ZSRR, jak ostatnio podano, wynosi 148 rubli, a norma polskiego aktora nie przekracza sześciu spektakli miesięcznie. Jest to jakaś ilustracja, motyw do zastanowienia. Dla naszych aktorów.

Wyjazd do Polski był dla aktorki pierwszym w życiu za granicę. Polska ją nie tylko zaskoczyła. Polska ją zaakceptowała. Spotykała się z wieloma ludźmi, w różnych środowiskach i zawsze czuła się jak w domu.

**B**YLEM w Brześciu pięć dni. Jechałem z zamiarem pisania o „pierestrojce”, o przygranicznych realiach życia, jakiejś może wymianie towarowej. Wyszło inaczej: o ludziach i wymianie wzajemnych sentymentów. Być może są one nieco innym towarem niż jabłka odmiany McIntosh, wiadra czy rowery, ale towarem wyjątkowo trwałym, jeżeli się o niego dba. Pytanie, czy warto, odrzucam, jako pochodzące z minionej epoki. Epoki pustych haseł, zakłęb, pozorantwa, koszarowego socjalizmu. Jeżeli naprawdę warto w coś inwestować, to właśnie w towar, o którym piszę. — W sferę bezpośrednich kontaktów i uczuć, jakie mogą się rodzić w prywatnych domach. Aktorskich, robotniczych, wszelkich. Jeżeli córka Anny Świetlickiej zaczyna mówić do koleżanki jej mamy z Brześcia „ciociu”, albo gdy Oleg Katuszczyk pyta mnie o różnicę między „ó” i „u” albo gdy Aleksandrow chce, aby jego wiersze tłumaczyć na polski, to wtedy przestają mnie interesować wszelkie sukcesy w wymianie truskawek na szpadle i kartofli na budziki.

Nic na to nie poradzą.



**J**ESTESMY biedni ludzie, ale uczciwi, i nie możemy być traktowani jak śmiecie. Nie śladamy nic innego jak pomocy od ludzi, którzy ją nieść powinni. Czekamy na interwencję... — oto kilka zdań, które wybrałam z pism kierowanych przez Janinę i Tadeusza Sz. do różnych instytucji Lublina.

— To się w głowie nie mieści, prosza pani — słyszę od sąsiada — żeby ludzi tak jak niewolników sprzedawać razem z ziemią. Dokąd harowali na właściciela jak woły, było dobrze, a teraz, gdy są już niepotrzebni, to niech się nimi państwo opiekuje. Właściciel miliony zagarnął i wszystkim się w nos śmieje, a ci ludzie gehennie przeżywają i od urzędu do urzędu chodzą. A urzędnicy, cóż, mogą tylko ręce rozłożyć i głową pokiwac nad tymi biedakami. Bo nasze prawo jest bezsilne na takich właścicieli.

Drobna, zniszczona kobieta wygląda na więcej niż 45 lat. Idzie powoli, powłócząc nogą — to efekt wypadku, któremu uległa w pracy. Jej mąż nerwowymi ruchami rąk potwierdza prawdziwość zdań wypowiadanych przez żonę. Jego nerwy — jak twierdzi — z miesiąca na miesiąc ulegają pogorszeniu. On zawsze miał słabe nerwy — żona usprawiedliwia jego zachowanie. — Ale pracował na gospodarce, ile tylko miał sił — uzupełnia. — Wszystko robił, co mu właściciel kazał.

Janina Sz. opowiada historię swojego życia.

— To było w 1947 roku. Miałam trzy lata, kiedy matka moja Genowefa K. trafiła do gospodarstwa Michała i Anieli W. Została przez nich przyjęta do pracy. Wykonywała tam wszystkie usługi, pracowała przy inwentarzu i od świtu do nocy w polu. Nie otrzymywała żadnego wynagrodzenia. Dostawała jedzenie.

Z pisma procesowego złożonego w sądzie: „Sąsiedzi słyszeli krzyki: Genowefy K. bitej przez Michała W. Była ona jeszcze wtedy młodą kobietą, nie dotkniętą kalectwem. U Michała W. porodziła drugą dziewczynkę, którą musiała oddać nieznanym ludziom. Odeszła po kilkuletniej pracy bez wynagrodzenia, bez mieszkania, usunięta przez Anielę W. Pozostawiła w ich gospodarstwie córkę Janinę”.

— Aniela i Michał W. oddali mnie do sióstr zakonnych do „Caritasu” — mówi Janina Sz. — ale w 1965 roku zabrali mnie z powrotem, abym pracowała w ich gospodarstwie. A było tego 7,80 ha i jeszcze kawałek dzierżawionego pola. Michał W. był właścicielem cegielni, więc w polu nie miał kiedy pracować. W 1970 roku skojarzył moje małżeństwo z Tadeuszem, myśląc pewnie, że przybędzie mu w gospodarstwie darmowy parobek. Mąż pracował w polu, przy inwentarzu, odwoził mleko do punktów skupu, dowoził zlewki z restauracji, barów i szkolnych stołówek jako karmę dla trzody. Poprzednio pracował w Gminnej Spółdzielni w Piaskach, ale sprowadzony do gospodarstwa przez W., utracił ubezpieczenie i prawo otrzymania renty. Pracowaliśmy obydwój od świtu do nocy. Nie otrzymywaliśmy wynagrodzenia, tylko jedzenie i ubranie. Mieszkaliśmy w kuchni, a bezdzietni W. mieszkali w pokoju. Michał W. obiecywał, że za pracę da nam pole i wybuduje dom, w którym wspólnie zamieszkamy, by się na stare lata nimi opiekować. Urodziło nam się troje dzieci. Emilka ma już 18 lat i zdaje w tym roku maturę. Agnieszka ma 16 lat i chodzi do szkoły ogrodniczej, a najmłodszy Franek chodzi do V klasy.

W 1991 roku zmarła Aniela W. To wtedy zostaliśmy przez W. podstępnie wymeldowani z jego mieszkania na ulicy Wojciechowskiej i zameldowani w jednopokojowym mieszkaniu mojej matki i ojczyma na ulicy Długiej. Michał W. wziął od nas wtedy dowody osobiste, mówiąc, że chce nam kupić mieszkanie na LSM. Ale mieszkanie to kupił swojej konkubinie, do której się niebawem przeprowadził. Już tyle lat u niej mieszka, choć w dalszym ciągu zameldowany jest na ulicy Wojciechowskiej. Zaraz też sprzedał cegielnię za 10 mln zł i gospodarstwo razem z budynkami za 6 mln złotych. Kupił tej pani dwa samochody i komfortowo urządził jej mieszkanie. A nas sprzedał razem z budynkami. Nowi właściciele wykupili całą naszą rodzinę z zajmowanego pokoju. Lata całe ciężko pracowaliśmy u Michała W. Teraz pozostaliśmy bez pieniędzy i dachu nad głową. Właściciel nie wywiązał się ze złożonej nam obietnicy. Nasz los zrzu-

## OD TEJ PORY RODZINA SZ. DOSTAJE SIĘ DO MIESZKANIA PRZEZ OKNO

# SPRZEDANI

Izabella Wlazłowska

cił teraz na barki urzędników. A urzędy...

Janina Sz. siedem lat temu zatrudniła się w MPO. Dało to podstawy do ubezpieczenia dzieci i męża. Nie daje jednak podstawy do nabycia praw rentowych, do których obydwój się kwalifikują ze względu na bardzo zły stan zdrowia. Postanowili praw tych dochodzić na drodze sądowej, wnosząc do Sądu Pracy pozew o ustalenie stosunku pracy u Michała W.

Sąd ustalił, że powództwo ich nie jest zasadne, bowiem „powodowie pracowali w gospodarstwie pozwanego na zasadach członków rodziny. Zamieszkali u niego na stałe, korzystali z jego wyżywienia, ubrania, obuwia, a ten charakter zachowania się wzajemnego stron nosi cechy wytworzonych między sobą stosunków rodzinnych. Członkowie rodziny pozbawieni są zatem możliwości dochodzenia i ustalenia ich zatrudnienia w gospodarstwie właściciela na zasadzie umowy o pracę... Pozwany, jak stwierdził, zatrudniał pracowników najemnych w swoim gospodarstwie i wynagradzał ich dniówkowo. Nie wynagradzał w ten sposób powodów i choćby ta różnica świadczy o rodzinnym charakterze ich pracy”.

Wojewódzki Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Lublinie oddalił rewizję złożoną przez małżonków Sz.

— W sądzie Michał W. dowodził — mówi Janina Sz. — że nasza praca u niego miała charakter rodzinny. Kiedy zaś przyszło do sprzedaży majątku, to nie nam się z niego nie należało, bo tym razem byliśmy dla niego obcymi ludźmi.

Gospodarstwo rolne wraz z budynkami i mieszkającą w nich rodziną Sz. kupiła od Michała W. w 1986 roku jego kuzynka Krystyna G.

— Wiedziała pani przecież, że w pokoju obok mieszka pięć osób — mówię.

— Tak, ale stryj mi tłumaczył, że kupi im mieszkanie i Sz. się szybko wyprowadzą. Sama pani widzi, jakie mamy warunki. Rok temu urodziło się nam trzecie dziecko. Mieszkamy w piątce w jednej kuchni. Musiałam więc wystąpić do sądu o eksmisję rodziny Sz. Wyrok jest prawomocny.

Z uzasadnienia wyroku nakazującego eksmisję małżonków Sz. z pokoju przy ulicy Wojciechowskiej: „...świadkowie w przeważającej części to sąsiedzi stron. Słyszeli oni, iż Michał W., poprzedni właściciel nieruchomości, obiecywał Sz., że ich nie skrzywdzi, że pozostawi im swój majątek. Stwierdzili także, że Sz. bardzo ciężko pracowali i byli przez W. wykorzystywani. Gdyby bowiem Michał W. darował Sz. sporną nieruchomość, to powinien to uczynić w formie aktu notarialnego. Dlatego też sąd uznał, że rozszczenie Krystyny i Marcina G. jest zasadne zarówno w części dotyczącej eksmisji, jak i odszkodowania za bezumowne korzystanie z nieruchomości”.

— Takich wyroków mamy kilkadziesiąt — słyszę w Wydziale Lokalowym Urzędu Miasta w Lublinie. — Z braku pomieszczeń zastępczych ich wykonanie trwać będzie latami.

Obowiązek bogatego właściciela, by zapewnić rodzinie Sz. mieszkanie za-

stępce, przejął teraz na siebie Urząd Miasta.

Mam szczęście. W kuchni Krystyny G. spotykam Michała W. 70-letni, wysoki, postawny mężczyzna o sprawnym ruchach niechętnie odpowiada na moje pytania.

— Dlaczego pan jest tu zameldowany, skoro od lat mieszka na LSM? — pytam.

— Tu mieszkam.

— Gdzie? W którym kącie tej małej kuchni, w której ledwo znajdują miejsce, by postawić krzesło i na nim usiąść? Gdzie jest pańskie łóżko? Po co, panie W., ta fikcja?

— Nie pani sprawa.

— Dlaczego pan trzyma u siebie książeozki oszczędnościowe zapisane na dzieci Janiny Sz. i założone z pieniędzy spadkowych po pańskiej zmarłej żonie?

— Mogę je pani oddać.

— Ja ich nie chcę. Ale może przynajmniej z pieniędzy na nich zgromadzonych rodzina Sz. uzupełniłaby wkład na mieszkanie w spółdzielni mieszkaniowej. Bo są zarejestrowani w spółdzielni, mają książeczkę systematycznego oszczędzania, tyle tylko, że nie mają co oszczędzać. — Przypomniałam sobie, że w dokumentach sądowych wyczytałam, iż w ubiegłym roku pensja Janiny Sz. wynosiła 16 tys. zł, co w przeliczeniu na jedną osobę dawało kwotę 3200 zł, za które miała się ona utrzymać.

— Janina Sz. pracowała u pana całe swoje życie — mówię. — Teraz pozostaje w skrajnej nędzy i bez dachu nad głową, bo pan nie wywiązał się ze składanych jej obietnic.

— A co tam ona pracowała — słyszę — tak samo jak i ten jej mąż. A mieszkanie chciałem kupić, tylko oni się na nie nie zgodzili.

Byłam w mieszkaniu Janiny i Tadeusza Sz. i myślę, że każde zaproponowane im mieszkanie byłoby po prostu rajem w porównaniu z tym, w którym mieszkają.

Od trzech lat, a więc od chwili, kiedy Krystyna G. kupiła gospodarstwo i wprowadziła się do kuchni, rodzina Sz. pozbawiona została drzwi wejściowych. Przechodzenie przez kuchnię obcych sobie ludzi wywoływało awantury, więc G. zabili drzwi z pokoju do kuchni. I od tej pory rodzina Sz. dostaje się do mieszkania przez okno.

Ja też tam tak weszłam. Rozłożone tapczany ze stertami nieświeżej pościeli. Stara szafa, przeładowana do granic wytrzymałości, o niedomkniętych drzwiach, nie jest w stanie pomieścić rzeczy pięciu osób. Reszta leży na ogromnej kupie złożonej na wielkim łóżku. Równie stary kredens służący za szpaznię: kuchnię, popękany stół i dwa krzesła, oto dorobek całego życia rodziny Sz. Na stoliku koło kredensu stoi maszyna elektryczna. Latami niemalowane ściany powleczone są plackami grzyba. Zapach stęchlizny drażni nozdrza.

— To na tej maszynie pani gotuje? — pytam.

— A mam za co gotować? Przynoszę z pracy zupy, to je tylko odgrzewam. A tak to chleb jemy.

— To dzieci w szkole nie jedzą?

— Proszę pani, my nie mamy pieniędzy. Czasami dostajemy jakąś zapomogę, ale nie jesteśmy zebrakami. Przez całe swoje życie ciężko pracowaliśmy. I za swoją pracę powinniśmy coś mieć.

— No a gdzie dzieci odrabiają lekcje?

— Przy tym stole. Na szczęście dziewczynki uczą się dobrze. Trochę kłopotów mamy z chłopcem.

Dziewczynki: 18-letnia Emilka i 16-letnia Agnieszka szykują się do wyjścia. Poprawiają włosy, kładą dzieńsowe kurtki. Matka śmieje się spoglądając na mnie. Za chwilę podstawiają stołek pod okno i wychodzą przez nie na podwórko.

Na ulicy nie odróżniają się od swoich rówieśników. Nikt by też nie pomyślał, że ich młode życia znaczone jest stęchlizną zagrzybionych ścian i suchym chlebem, popijanym odgrzewanymi na maszynie zupami, wypraszanymi przez matkę z zakładowej stołówki. Z ich domu do pięknej, ukwieconej dzielnicy LSM jest tylko półtora kilometra.



Fot. Waldemar Stępień

# PIENIĄDZE SZCZĘŚCIA NIE DAJĄ

Michał Zieliński

**N**A świecie żyje 5 miliardów ludzi. A zatem moje szanse na to, aby urządzić się w Brunei-Darusalam i być bruneńczykiem, nie były wielkie. Ścisłej, ponieważ w sultanacie Brunei żyje 230 tysięcy osób, szanse owe wynoszą 0,05 promila. Co gorsza, gdyby to mało prawdopodobne wydarzenie nastąpiło, moje szanse na to, aby nazywać się Hassanai Bolkah Muizzaddin Waddavlam, byłyby jeszcze mniejsze (0,04 promila). Wprawdzie na główną wygraną w toto-lotka liczyć mogą w jeszcze mniejszym stopniu, gdyż jej prawdopodobieństwo wynosi jedynie 0,00008 promila, ale sultanem Brunei na pewno nie jestem, a tego, że wygram w toto-lotka, wykluczyć nie mogę.

Mogą Państwo zapytać, dlaczego lubiłbym być sultanem Brunei. Powód prosty. Jego majątek szacowany jest na około 25 miliardów dolarów. (Dla porównania — wartość majątku narodowego Polski szacować można na około 150 miliardów złotych, czyli jakieś 150 miliardów dolarów). A ja z zamiłowania jestem ekologiem i ludowcem — lubię zielone.

Ponieważ jednak sultanem Brunei ani szejkiem Kuwejtu (Jaber Al Sabah — majątek szacowany na, najwyżej, 8 miliardów dolarów) nie dane mi było się urodzić, pewną szansę na powiększenie moich zasobów dałoby udane małżeństwo. Cóż, kiedy jedynie dwie dobre partie: Elżbieta II (11 miliardów) i królowa holenderska Beatrycja (7 miliardów) wybrały inaczej.

Przyznać trzeba, że podane wyżej dwa sposoby na fortunę (dobrze się urodzić lub dobrze się ożenić) nie wydają się godne szczególnego lansowania. Do majątku powinno dochodzić się własną wytężoną pracą. Tak jak Yoshiaki Tsutsumi, szef i właściciel firmy Seibu Railway. A że dobra praca popłaca, zdolał on uciąć około 30 miliardów. Business daje tu największe możliwości, ale jeżeli ktoś nie ma smykalki do interesów, może pisać piosenki (jak Paul McCartney — 150 milionów dolarów), być „Świątym nr 007” (Roger Moore — 25 milionów) albo w ostateczności trochę pojeździć samochodem (jak Jackie Stewart — 15 milionów).

Tak czy owak pracować warto. Najlepiej jako dyrektor i najlepiej w Stanach Zjednoczonych. Jak bowiem podał „The Economist”, dyrektorzy największych przedsiębiorstw (a dotychczas zaliczono te, które mają przychód roczny ponad sto milionów dolarów — licząc dolara po tysiąc złotych, w roku 1987 w Polsce było około dwudziestu takich firm) zarabiali w USA przeciętnie rocznie 265 tysięcy dolarów, a uwzględniając beneficje niegotówkowe i dochody z posiadanych akcji (swoją drogą ciekawe, ilu dyrektorów w Polsce kupiłoby dziś akcje kierowanych przez siebie przedsiębiorstw?) — nawet 391 tysięcy dolarów. Nieco gorzej było w Szwajcarii i RFN (tylko osiemdziesiąt procent podane wyżej kwoty), jeszcze gorzej w Japonii, Francji i Włoszech (średnio 70 proc. tego co w USA), a dyrektor dużej firmy w Szwecji miał już wynagrodzenie wręcz głodowe. Średnio zarabiał, że wszystkim, niecałe 150 tysięcy dolarów. I to brutto, czyli przed opodatkowaniem.

A podatki dochodowe — których socjalizm miłościwie nam zaoszczędził

— są prawdziwą zimą ludzi dobrze zarabiających. Jeżeli dochody takiego dobrze zarabiającego mieszczą się w przedziale od stu do czterystu tysięcy dolarów rocznie, to fiskus zgarnia z tego 26 procent w USA, 31 proc. w Japonii, połowę w RFN i Francji i — prawdziwy rozbój — aż 64 proc. w Zwycię.

Dolar dolarowi nierówny. Są w świecie miasta drogie (za najdroższą stolicę w wielkim świecie uchodzi Tokio) i tanie — najtańszą stolicą wielkiego(?) świata jest Warszawa. Redakcja „Wirtschaftswoche” zadawała sobie trud, żeby policzyć, ile kupić może biznesmen za sto dolarów w różnych miastach świata. Do obliczeń użyto oczywiście specyficznego koszyka dóbr i choć nie wiem, co się w nim znajdowało, przypuszczam, iż raczej nie była to ani kaszanka, ani pasztet mazowiecki. Ale przechodząc do konkretów: na to, co we Frankfurcie, Chicago, Zürichu czy Wiedniu kosztowało sto dolarów, w Tokio wydać trzeba było 144 dolary, w Nowym Jorku 135 dolarów, Sztokholmie 116 dolarów, natomiast w Rio de Janeiro, Montrealu czy Atenach tylko 75 dolarów. Meksyku 65 dolarów, Lizbonie i Meksyku 65 dolarów, zaś w Warszawie te najpilniejsze potrzeby człowiek interesu mógł opędzić za jedne 43 dolary. Starajmy się zatem zarabiać w New Yorku, a wydawać w Warszawie. Nigdy odwrotnie.

Średnie statystyczne mają to do siebie, iż czynią rzeczywistość spłaszczoną i nudną. Mogą także — o czym przekonał się pewien statystyk, tonący w rzecę o przeciętnej głębokości trzydziestu centymetrów — być niebezpieczne. Kto każe nam zarabiać średnio? Dlaczego, będąc managerem amerykańskiego przedsiębiorstwa, mamy zadowalać się niecałymi czterystu tysiącami dolarów (brutto!) rocznie? Starajmy się zarabiać jak najlepiej. Tak jak Jim Manzi i Lee Iacocca, idący od lat łeb w łeb na liście najlepiej opłacanych managerów świata. Ostatnio (1987 r.) lepiej szło Jimowi; szefując Lotus Development Corporation (oprogramowanie komputerów), zarobił 26,3 mld dolarów, Iacocca był aż o osiem miliardów gorszy.

Bossem być — miła rzecz. Cóż jednak, kiedy w Polsce nie jest to łatwe. Nie dość, że trzeba być (trzeba było być?) członkiem tzw. „nomenklatury” (podaje za „Przeглядem Tygodniowym” 1989 nr 2, że liczba takich stanowisk wynosiła w końcu 1988 r. 360 tysięcy), to jeszcze trzeba będzie być wybranym przez załogę. Wprawdzie i managerowie są wybierani. Ale przez akcjonariuszy, a nie przez załogę. Podejrzewam — obym się mylił — że kryteria wyboru są różne. Akcjonariuszom, jak mi się zdaje, chodzi o maksymalny zysk, czyli o maksymalną efektywność. Załogę, przypuszczam, o maksymalne płace. A to już nic innego jak tylko osławiona „trzecia droga”. Niestety — do „czwartego świata”.

**D**O Polski i naszych zarobków jeszcze wrócę. Na razie zostaniemy w Stanach. Jeżeli nie wybiorą nas (akcjonariusze!) bossem, to kim należy zostać? Najgorzej Murzynem. Nie dość, że biją, to jeszcze kiepsko płacą. Jeżeli średni dochód amerykańskiej rodziny wynosił w 1987 roku 31 tysięcy dolarów (z czego jeszcze trzeba by-

ło zapłacić 13 procent podatku), to rodzina murzyńska zarabiała przeciętnie jedynie 18 tysięcy dolarów. Nieco lepiej być kobietą. Wprawdzie też biją („czarne pończochy” twierdzą, że kilka milionów Amerykanów regularnie bije swoje żony), ale płacą trochę więcej. Statystyczna Yankeeńska zarobiła w tymże roku 17 tysięcy dolarów, zaś przeciętny Yankee aż 26 tysięcy.

Jednakże kobieta to nie zawód. Jaki więc zawód wybrać (w USA oczywiście)? W 1986 roku „Przeгляд Tygodniowy” (nr 26) podał roczne zarobki w sześćdziesięciu zawodach. Na jego odpowiedzialność przytaczam stawki w niektórych: chirurg operacji plastycznych w Beverly Hills — 830 tys. dolarów, chirurg w najlepszym szpitalu — 68 tys., a dentysta z dobrą praktyką — 59 tys. (w tych przypadkach trzeba jednak zainwestować w studia dobre ponad sto tysięcy dolarów), najlepszy futbolista — 835 tys., najlepszy koszykarz — 750 tys., profesor uniwersytetu — 37—45 tys., kierowca ciężarówki (nie mylić z pikapem marki „Star” — ciężarówki w USA zaczynają się od dwudziestu paru ton ładowności) — 42 tys., górnik — 33 tys., oficer policji z rocznym stażem — 23 tys. (tyle samo co listonosz), sekretarka w średniej firmie — 15 tys., kierowca — 7,2 tys.

Jak te płace mają się do zarobków polskich (porównując strukturę, a nie wysokość oczywiście)? Na pierwszy rzut oka widać, że a) lepiej wynagradzają w USA pracę wymagającą wysokich kwalifikacji, b) brak jest lobby górniczego i c) znana im jest maksyma Lenina („państwo policyjne to takie, w którym policjant zarabia więcej niż nauczyciel”). Mimo tych zrozumieli różnic, porównanie w niektórych przypadkach jest szokujące. Oto scenarzysta za odcinek serialu, który „chwycił”, brał 250 tys. (dla nie wtajemniczonych jest to circa 50 stron maszynopisu — w Polsce dostaje się mniej więcej tyle samo, tyle że w złotychkach), dobry dziennikarz 50—66 tys. (jak wyżej), a barman w dobrej knajpie łącznie z napiwkami 29 tys. (w Polsce — licząc w dolarach — nie tak znowu wiele mniej).

Zapowiedziałem wcześniej, iż w tekście tym będzie także mowa o zarobkach w Polsce. Czy wiadomo, ile kto u nas zarabia? Podkreślam, zarabia, a

Nasi „krezusi”	Udział w grupie „bogaty” (w %)	Udział „bogaty” w danej grupie społecznej (w %)
1) właściciele prywatnych zakładów	20,2	43,0
2) pracownicy zatrudnieni oficjalnie za granicą	9,5	wszyscy
3) osoby okresowo zarobkujące za granicą	11,3	wszyscy
4) osoby zajmujące się „turystyką zarobkową”	11,0	wszyscy
5) otrzymujący emerytury z zagranicy	1,4	wszyscy
6) rolnicy indywidualni	12,5	12,1
7) wolne zawody	8,1	brak danych
8) pracownicy gospodarki społecznej, w tym:	16,7	4,2
a) na stanowiskach robotniczych	12,5	4,9
b) na stanowiskach nierobotniczych	4,2	2,9
9) pozostali	9,3	X
Razem	100,0	X

nie ile otrzymuje pensji. W pewnym przybliżeniu od niedawna — tak. W Instytucie Badań Ekonomicznych PAN podjęto — pod kierownictwem prof. Mieczysława Mieczankowskiego — badania dotyczące tego, jak dużo osób w Polsce dużo zarabia, oraz tego, co to właściwie znaczy u nas „dużo”. Wstępne wyniki tych analiz opublikowało ostatnio (nr 19 z dn. 7 maja) „Życie Gospodarcze”.

Zanim przedstawię w skrócie te wyniki, na wstępie istotna uwaga. Dotyczą one roku 1987 i dlatego podawane

kwoty wyglądają dzisiaj zartobliwie. Pamiętajmy, że ceny pogalopowały ostro do przodu, a dochody wraz z nimi. Do końca kwietnia br. jedne i drugie wzrosły mniej więcej trzykrotnie, i taki mnożnik, licząc z grubsza, trzeba by przyjąć, żeby przybliżyć się do relacji dzisiejszych. A więc jeżeli w badaniu przyjęto, że w 1937 roku za dobrze zarabiające mogły uchodzić osoby o dochodach wynoszących 58,3 tys. zł miesięcznie, to dzisiaj granicę tę należałoby przesunąć gdzieś do 180 tysięcy.

W 1987 roku ludzi zarabiających tak dużo było około 2,3 mln, to jest około 10 procent pracujących. Te dziesięć procent osób przejmowało 30 procent wszystkich dochodów. Ten wynik był nieco zaskakujący. Pokazał on bowiem, iż stopień koncentracji dochodów jest w Polsce nie niższy niż w USA. W Stanach Zjednoczonych bowiem 20 procent najczęściej zarabiających przejmowało 43,5 proc. dochodów.

**T**O jedno tylko chyba upodobałoby się do Amerykanów. Wszystko inne, a więc poziom dochodów uznanych za wysokie i struktura zawodowa „krezusów”, jest całkiem odmiennie. W przytoczonej tabelce podaje skład polskich bogaczy opisany dwoma wskaźnikami. Pierwszy informuje o tym, jaki odsetek najbogatszych stanowi dana grupa, drugi o tym, jaki odsetek wszystkich przedstawicieli danej grupy zawodowej czy społecznej trafia do najbogatszych. Mówiąc inaczej, informacja o tym, jaką szansę ma pracujący, emeryt czy „handlowiec”, aby zostać milionerem (przy zastosowaniu kryterium dnia dzisiejszego, czyli dochodów miesięcznych ea 180 tys. zł, są to milionerzy, gdyż roczne zarobki ich wynoszą 2,2 mln).

Przedstawiony tekst nie ma kończących go wniosków. Ma za to pointę. Pointę odpowiadającą na pytanie, po co taki nieprzyjemny i jawnie jęczący tekst napisałem. Po pierwsze, dla pieniędzy. Jako osoba pracująca w gospodarce uspołecznionej na stanowisku nirobotniczym, mam nikt nie szansę na zakłapanie się do polskiej „top ten”. Szansa ta wynosi tylko 2,9 procenta. Podobnie (choć brak tu dokładnych danych, bo do jednego worka włożono literatów, adwokatów, aktorów, dziennikarzy, naukowców, lekarzy oraz księży) szanse moje byłyby nikt, gdybym

został „wolnym zawodem”. Więcej, prawdopodobieństwo wdrapania się na dochodowy wierzchołek byłoby również niewielkie, jeżeli połączyłbym obydwie te profesje. Dlatego jest również powód drugi. Pieniądże zadowolonia nie dają. Co jednak w Polsce sprawia ludziom zadowolonia? Z moich obserwacji wynika, że Polak najbardziej jest zadowolony wtedy, gdy widzi, że inni są jeszcze bardziej niż on niezadowolony.

A domyślmy się, jacy Państwo będą wściekli po przeczytaniu tekstu.

## LISTY - POLEMIKI

Dokończenie ze str. 5

daktor znalazł ludzi niczyich. Nie chcą być z nami i nie chcą być z nimi — no więc z kim? Jak sami stwierdzają: „Solidarność była za bardzo polska i katolicka”. Bez obrzydzenia, z góry przeproszam — dla mnie Polaka to tacy „ani pień, ani wydra”. Kiedy i w czym można na nich liczyć?

Uważam, że przez 45 lat Polski Ludowej było najwyższy czas samookreślić się i przedstawić czas tożsamość.

Z historii tych ludzi wynika, że tam się urodzili ich dziadowie, młodzi uzyskali solidne wykształcenie na uniwersytetach i politechnikach kraju, wzrosła ich świadomość itp., ale nadal poszukują miejsca, chyba nie Ojczyzny. Tu decyzja powinna być jedna — albo kraj, w którym żyją, albo należałoby się przenieść nieco na wschód. Przepraszam, Panie Redaktorze, za szczerość, ponieważ innego rozwiązania nie widzę. Na pewno nie pozwolimy sobie, aby nam obcinano ziemie na wschodzie lub tworzone dla tych ludzi jakąś specjalną republikę.

Nie można stać w rozkroku na granicy — jedną nogą w Polsce, a drugą w Białorusi.

Pan Redaktor pisze, że siłą nawracano na katolicyzm przez władze polskie, a ja sobie przypominam opowieści dziadka mojego, jak jego nawracano przez kozaków na prawosławie. Ale mimo tego wyznania prawostawnego deklarował zawsze, że jest Polakiem. Osobiście uważam, że nie należy ubolewać nad ludźmi, którzy chcieliby czerpać korzyści z jednej i z drugiej strony. Wspomnę jedynie o Polakach,

mieszkańcach kresów z dziada pradziada, którzy bezpardonowo zostali odcięci od korzeni — wysłani na zachód w nieznaną i nikt nad nimi nie ubolewał, w myśl bzdurnej sprawiedliwości dziejowej.

Panie Redaktorze, swoim artykułem obudził Pan we mnie nacjonalizm. Jeżeli to było Pańskim celem — to cel taki został osiągnięty. Obawiam się, że za niedługo dowiem się, że prawdziwa granica polskości przebiega wzdłuż rzeki WISŁA.

Jan Skobel  
Lublin

# CZY ZANIK „ŚWIĘTEJ MIŁOŚCI KOCHANEJ OJCZYZNY”?

Leon Dyczewski

**C**O jakiś czas docierają do nas informacje o liście i losach Polaków poszukujących szczęścia w innych krajach. Informacje są pełne niepokoju, współczucia, nierzadkości, oskarżeń, a nawet grozy. Oto niektóre z nich: „Tylko w latach osiemdziesiątych wyjechało z Polski ponad 600 tys. osób: młodych, wykształconych, dynamicznych, wartościowych. Co za strata!”, „Obóz pod Rzymem wypełniony po brzegi Polakami. Warunki ich życia urągają ludzkiej godności”, „Nie ma już miejsca w Zirndorfen”, „Tysiące przesiedleńców i starających się o azyl Polaków mieszka pod Hamburgiem w kontenerach rozstawionych na placach szkolnych i zabaw na terenach zielonych. Cztery osoby na 13,5 metrów kwadratowych. Piętrowe, żelazne łózka”, „Spośród 15194 Polaków występujących do władz RFN o azyl w 1987 roku otrzymało go tylko osiem procent — 714 osób, w roku następnym zaledwie 2,7 procent”, „W roku 1987 spośród 14203 Polaków zamieszkałych w Berlinie Zachodnim 760 nie miało pracy (5,35 proc.). W marcu roku następnego liczba bezrobotnych w tym mieście wzrosła do 832 osób”, „Co drugi Polak będzie odstawiany do granicy!”, „Niemcy nie są krajem emigrantów!”, „Obcokrajowcy wynoście się!”.

Zadne wiadomości nie są jednak w stanie powstrzymać fali ludzkiej wylewającej się poza granice naszego kraju. Ambasady i konsulaty tzw. państw zachodnich są wprost obleżone przez Polaków czekających na wizy. Coraz o nie trudniej. Najwięcej wiz wydają konsulaty RFN i USA. W tych krajach mieszkają już tysiące Polaków, a i tak są one jeszcze najbardziej otwarte na przyjęcie nowych. W 1988 roku władze konsularne RFN wydały Polakom 72500 wiz turystycznych, nie licząc pobytowych, czyli wydawały ich około 5000 dziennie. To chyba najsprawniej funkcjonujący urząd na terenie Polski. Szkoda, że obcy.

Co skłania Polaków do opuszczania kraju? Pragnienie łatwiejszego życia, bardziej zasobnego w dobra materialne. To często, ale chyba niepełna odpowiedź. Osłabienie, a może nawet zanik „świętej miłości kochanej Ojczyzny” (używając określenia Ignacego Krasińskiego) — twierdzą inni. Ta odpowiedź z kolei zbyt mocno oskarża dzisiejszych emigrantów. A zatem kim są ludzie opuszczający dzisiaj kraj? Czy nadal czują z nim więź i jak ją wyrażają? Jak czują się w nowym społeczeństwie i jak w nie wchodzi? Czy myślą o powrocie do kraju, czy też rozstali się z nim na zawsze?

Odpowiedzi na te i wiele innych pytań szukaliśmy wśród Polaków na stałe mieszkających w RFN, prowadząc badania socjologiczne w sierpniu i wrześniu 1987 r. Miejscem badania było Monachium (łącznie z Dachau). Przeprowadziliśmy wywiady z 261 osobami, wylosowanymi uprzednio spośród 5822 Polaków zarejestrowanych w księdze meldunkowej. Każdy wywiad trwał, przeliczając, około dwóch godzin i często przechodził w luźną rozmowę. Zebrany materiał jest bardzo bogaty. Przedstawiam tu tylko niewielką część stwierdzeń i wniosków z niego wyprowadzonych. Są one reprezentatywne dla Polaków z Monachium, ale można je chyba odnieść także do Polaków żyjących w innych regionach RFN, a nawet w innych krajach. Los i problemy emigranta są bowiem podobne, niezależnie od tego, gdzie on żyje. Do takiego wniosku skłaniają badania nad Polakami w USA, Australii, Anglii, Francji, RFN.

## PRAGNIENIE DOSTATNIEJ NORMALNOŚCI

Poza nielicznymi wyjątkami emigranci polscy w Monachium, biorący udział w naszych badaniach, urodzili się w Polsce (96,17 proc.) i posiadają

rodzinę w kraju (95,78 proc.). Ogromna ich większość (71,7 proc.) wyjechała z kraju nie tak dawno, bo w latach osiemdziesiątych. Prawie co piąty respondent opuścił Polskę w latach 1971—1980.

Powody, które skłaniały ich do opuszczenia kraju rodzinnego, są różne: w pierwszym rzędzie — ekonomiczne (47,89 proc.), za nimi idą polityczne (37,55 proc.), na trzecim miejscu rodzinne (22,60 proc.). Powody inne — jak pozostanie w Niemczech po wojnie (obóz, wojsko, wywózka na roboty w czasie wojny), turystyczno-poznawcze, studia za granicą — podaje łącznie tylko 5,36 procent respondentów.

Powodem opuszczenia kraju rodzinnego odpowiadają powody osiedlenia się w RFN, choć one są bardziej zróżnicowane. Najczęściej wymieniane (34,96 proc.) są dobre warunki dla pozostających i dla emigrujących dalej, a następnie posiadanie rodziny lub znajomych (26,46 proc.). Niektórzy przybyli do RFN i zostali tu po prostu, jak to określają, przez przypadek (13,90 proc.), inni, bo blisko stąd do Polski (8,52 proc.), jeszcze inni z powodów politycznych (6,28 proc.). Są i tacy, którzy wybierając RFN jako kraj swojego pobytu, kierowali się pragnieniem poznania kultury niemieckiej i Niemców jako ludzi (2,69 proc.), posiadania już znajomością języka niemieckiego (2,24 proc.), możliwością studiowania (0,89 proc.).

Jeszcze bardziej zróżnicowane i ciekawe są powody osiedlenia się respondentów w samej Bawarii. Dla prawie jednej trzeciej (31,67 proc.) był to po prostu przypadek, co czwarta osoba znalazła tu pracę, dobre warunki socjalne i ekonomiczne; nieco więcej niż co piąta osoba ma tutaj rodzinę, przyjaciół, znajomych; 14,03 procent respondentów osiedliło się w Bawarii ze względu na piękno tego regionu. Inni z tej racji, że jest to kraj katolicki (8,60 proc.), że odpowiada im mentalność Bawarczyków (3,62 proc.), że podoba się im środowisko Polonii (2,71 proc.), że stąd blisko do kraju (2,26 proc.).

Analizując motywy opuszczenia kraju, jak też motywy przybycia do RFN i osiedlenia się w Bawarii, można wyprowadzić następujące stwierdzenia:

Emigracja polska ma charakter przede wszystkim ekonomiczny i polityczny. Nie jest to jednak ani emigracja „za chlebem”, ani walcząca „za wolność naszą i waszą”, jak dawniejsze. Ludzie opuszczający dzisiaj Polskę nie należą przeważnie do biednych. Wręcz przeciwnie, w skali polskich warunków życiowych są na ogół niezłe lub nawet dobrze sytuowani. Nie są to też tego typu osobowości, które byłyby gotowe do ponoszenia wielkich ofiar na rzecz walki o prawa człowieka. Owszem, są wśród nich i tacy, ale stanowią oni niewielką część. Większość wyjeżdża po prostu dlatego, że nie widzi w kraju szans dla rozwoju swoich aspiracji życiowych.

Nie chodzi tu tylko o posiadanie dóbr materialnych (na przykład mieszkania, samochodu, urządzeń technicznych, choć trudność ich zdobycia w Polsce wielu rzeczywiście popycha do wyjazdu z kraju), ale raczej o taką zwaną normalność i łatwość życia. Marzą im się świat bez kolejek, łapówek, gwałtownej inflacji, kombinatorystwa, niepewności prawnej. Marzą im się we wszystko zaopatrzone sklepy, w których się kupuje, a nie „załatwia”; szpitale, które leczą na podstawie normalnie funkcjonujących ubezpieczeń, a chory czy jego rodzina nie łamią sobie głowy nad tym, z kim należy się spotkać, by dostać łóżko w szpitalu, i komu co dać, by mieć w nim opiekuna. Marzy im się szkoła, która by ich dzieci wszechstronnie rozwijała, a mniej męczyła i osłabiała samodzielność myślenia. Marzą im się urzędy, w których z należnym szacunkiem byłoby traktowani.

W tych marzeniach występuje powiązanie przesłanek ekonomicznych z politycznymi. Potencjalni emigranci po prostu uważają, że ich marzenia nie mogą być zrealizowane w kraju, ponieważ taki jest ustrój, taka jest wewnętrzna i zewnętrzna polityka, której nie da się zmienić. Motywy polityczne popychające do emigracji, mają tutaj raczej prywatno-rodzinny charakter. Uwarunkowania polityczne są widziane jako przeszkoda, której nie da się ani obejść, ani usunąć w realizowaniu wymarzonego standardu życiowego. Pojawia się zatem pragnienie ucieczki z tej sytuacji i to pragnienie dominuje nad pragnieniem zmiany własnej sytuacji w Polsce. Rozczarowanie do wszystkiego, co jest w kraju — tak bowiem można by nazwać wewnętrzną postawę potencjalnego emigranta przebywającego jeszcze w Polsce — popycha go do wyjazdu, byleby tylko nie żyć tu, gdzie żyć się nie da. Oczywiście byłoby zbyt wielkim uproszczeniem twierdzenie, że taką postawę przyjmują wszyscy obecni emigranci, ale wydaje się ona dominująca.

Wprawdzie większość wyjeżdżających z kraju chce się z niego wydostać niemal „na oślep”, ale już w wyborze kraju, w którym widzieliby siebie w przyszłości, są bardziej konkretni. Dokładnie studiują szlaki emigracyjne oraz warunki życia w miejscu ewentualnego swojego osiedlenia. Wybierają państwa najbardziej rozwinięte, zamożne, o różnorodnych i od wieków ugruntowanych demokratycznych formach życia społeczno-politycznego, państwa, w których problem bezrobocia nie jest jeszcze najdotkliwszy i gdzie są realne szanse otrzymania pracy. Gotowi są nawet odczekać dłuższy czas, byleby tylko nie jechać gdziekolwiek. Biorą też pod uwagę walory naturalne i kulturalne kraju docelowego. Wybierają taki kraj, w którym mogliby, ich zdaniem oczywiście, dobrze się czuć.

## RODZINA I PRZYJACIELE NIE ZAWODZA

W procesach emigracyjnych wielką rolę odgrywają powiązania rodzinne, przyjacielskie i koleżeńskie, często związane w miejscu wspólnej pracy. Tworzą one swoistą siatkę poruszania się emigranta. Większą jednak rolę odgrywają przy opuszczaniu kraju a niżeli w osiedleniu się emigranta. Tu emigrant wykazuje daleko idącą własną inwencję. Często po prostu nie chce korzystać z pomocy, ponieważ byłoby to w jego przekonaniu nadużywaniem osób, które i tak dla niego bardzo wiele uczyniły.

Co trzecia osoba biorąca udział w naszych badaniach ma już rodzinę na terenie RFN i utrzymuje z nią kontakt. Emigranci utrzymują także żywy kontakt z rodziną pozostałą w Polsce; najczęściej telefoniczny lub listowny. Co czwarty respondent spotyka się z kimś z rodziny mieszkającej w kraju przynajmniej raz w roku, a prawie co ósmy nawet kilka razy w roku. Tylko nieliczni (5,75 proc.) nie utrzymują takich kontaktów.

Żywa łączność monachijskiej Polonii z rodziną w Polsce jest zrozumiała, bowiem większość spośród badanych (71,7 proc.) dopiero niedawno, bo w latach osiemdziesiątych opuściła rodzimym kraj i rozłąkę z najbliższymi odczuwa bardzo dotkliwie. Wykorzystują też wszystkie możliwości kontaktu, jakie daje im Monachium. Do takich należą: bezpośrednie połączenie telefoniczne z wieloma miastami w Polsce, częste odwiedziny osób przyjeżdżających z Polski lub jadących do niej, regularny transport paczek, które są zbierane w wielu dzielnicach miasta i rozwożone przez specjalnie powstałe dla tego celu firmy, do najmniejszych miejscowości w Polsce (najwięcej na Śląsk), regularny ruch turystycznych wycieczek w relacji Warszawa — Praga — Pilzno — Monachium. Wszystkie te możliwości są

skwapliwie wykorzystywane przez krewnych mieszkających w Monachium i w Polsce do udzielania sobie wzajemnej pomocy i wymieniać informacji. Jeżeli tylko się da, obydwie strony unikają pośrednictwa poczty. Po pierwsze dlatego, że wydłuża ona kontakt w czasie, a po wtóre — obydwie strony nie mają do niej zaufania. Panuje powszechne przekonanie, że korespondencja jest czytana, a paczki kontrolowane i czasami okradane.

Żywota sieć pokrewieństwa łączy członków rodziny żyjących w kraju i za granicą, podobnie jak powinna łączyć dziecko z matką. Droga takich kontaktów płynie z rodzinnego kraju wszystko, czego nie przekaże telewizja, radio, prasa, choćby najlepsze. Tą drogą przekazywane jest typowo polskie przeżywanie świata i człowieka — czyli duch narodu. Ale też tą drogą zasilane są stare i nowe skupiska Polonii.

## SPRAWY POLSKI NADAL WAŻNE

Spotyka się opinię, że nowa emigracja wyjeżdża z większym bądź mniejszym urazem do PRL, że kraj rodzinny opuszcza ze swoistego rodzaju radością, czego nie było u dawniejszej emigracji; ta opuszczała kraj ze ściśniętym gardłem. Ruszała jednak w nowy dla siebie świat, ponieważ na tym gardle zaciskał się sznur nędzy, bezrobocia, tułaczki lub więzienia. Była to po prostu konieczność życiowa. Nowa emigracja nie jest przymuszana aż takimi koniecznościami do wyjazdu w „nowy świat”. Wyjeżdża, bo chce żyć lepiej i wygodniej. Niektórzy dostrzegając tę różnicę pomiędzy nową a dawną emigracją, jeszcze ją wyostrzaają i uważają, że nowa emigracja jest mniej zainteresowana sprawami rodzinnego kraju. Czy rzeczywiście tak jest?

Otóż dla połowy respondentów naszych badań (51,3 proc.) sprawy polski są nadal ważne i nadal przeżywane. Częściej niż co czwarta osoba (28,7 proc.) tak mocno jest w sprawy polski zaangażowana, że uważa je za sprawy własne.

Z wypowiedzi respondentów wynika, że zainteresowanie sprawami kraju ma przede wszystkim emocjonalne podłoże, i wypływa z faktu, że czują się nadal Polakami. Stosunkowo mało jest zainteresowanie konkretnymi problemami i wydarzeniami. 39,1 procent stwierdza wręcz, że w ciągu ostatniego roku nie zainteresowało ich żadne wydarzenie mające miejsce w Polsce. Natomiast ci, którzy byli zainteresowani jakimś wydarzeniem w Polsce w tym okresie (60,2 proc.), najczęściej interesowali się pielgrzymką Jana Pawła II do Polski i jej przebiegiem (38,85 proc.), a następnie — ponad dwukrotnie słabiej — działalnością grup opozycyjnych oraz stosunkiem do nich władz PRL (14,64 proc.) i polityką gospodarczą PRL (14,01 proc.). Nieliczni interesowali się przepisami paszportowymi (12,74 proc.), katastrofami i klęskami żywiołowymi (11,46 proc.) czy wizytą K. Waldheima i G. Busha (5,73 proc.). Najczęściej podawanym motywem, dlaczego ktoś interesuje się jakimś wydarzeniem w Polsce, jest stwierdzenie: „bo jestem Polakiem”, „bo interesuje mnie wszystko, co dzieje się w Polsce”. Respondenci najpełniej uzasadniają swoje zainteresowanie wizytą Jana Pawła II, między innymi następująco: „Papież podnosi ludzi na duchu. Papież to przyjęcie św. Komunii. Człowiek zapomina o problemach, kłopotach, nawet o chorobie”; „Poruszyła mnie, gdyż była ona bardzo ważna dla całego narodu, a ja czuję się bardzo związana z Polską i wszystko, co dla niej jest istotne, jest również i dla mnie”; „Ze względu na wpływ Kościoła polskiego na politykę”.

Zródłem informacji o Polsce jest najczęściej telewizja (69,7 proc.), następnie prasa polska (31,8 proc.) bądź niemiecka (26,8 proc.), rzadziej Radio Wolna Europa (22,2 proc.), jeszcze rzadziej radio RFN (9,6 proc.), Głos Ameryki (4,6 proc.), BBC (1,9 proc.) czy Radio Warszawa (0,8 proc.). Stosunkowo częstym źródłem informacji o Polsce są rozmowy (19,2 proc.) i listy od rodziny (2,7 proc.) Zródła informacji, z jakich respondenci korzystają, ukazują duże znaczenie zarówno rozgłośni, jak i prasy polskiej. Prawdopodobnie wynika to ze słabej znajomości języka niemieckiego u większości badanych osób. Być może zainteresowanie polskimi rozgłośniami i prasą polską będzie słabiej wraz ze zdobywaniem znajomości języka kraju osiedlenia.



Bardziej obiektyw...m wskaźnikiem więzi z krajem jest udział w różnych formach pomocy na jego rzecz organizowanej. Otóż ponad połowa respondentów (64,8 proc.) na pytanie: „Czy bierze Pan(i) udział w organizowanych na rzecz Polski akcjach charytatywnych, działaniach kulturalnych, działaniach i manifestacjach o charakterze politycznym, czy w jakichkolwiek innych działaniach na rzecz kraju?” — odpowiedziało negatywnie. Ci natomiast, którzy w takich działaniach biorą udział, najczęściej uczestniczą w akcjach charytatywnych (26,1 proc.), kulturalnych (15,7 proc.) i o charakterze politycznym (8,8 proc.). Wcale to nie znaczy, że emigranci nie są wrażliwi na potrzeby ludzi w kraju. Wysyłają paczki, pieniądze i organizują pomoc, ale kierują ją do rodziny, do przyjaciół, znajomych, parafii, z których pochodzą. Świadczy to o wielkim braku zaufania do organizacji i instytucji państwowych. Widzą oni kraj bardziej przez konkretne osoby aniżeli jako zorganizowany system.

### MYSLI I SERCE SĄ W POLSCE

Ogromna większość respondentów nie była ani razu w kraju po jego opuszczeniu (77,4 proc.). Najczęściej są to osoby, które nie tak dawno przybyły do RFN i swoich spraw formalnych nie mają załatwionych do końca. One po prostu nie mogą przyjechać do Polski, ponieważ stoją w kolizji z polskim prawem, które traktuje ich jako przestępców, bo bez zezwolenia władzy, czyli nielegalnie pozostali za granicą. Z niecierpliwnością oczekują nowelizacji prawa paszportowego. [Przypominam, że badania prowadzone były w 1987 roku — L.D.]

Rozłąka z krajem rodzinnym, z Ojczyzną, nie jest dla nich łatwa i to do tego stopnia, że znaczna część respondentów (41,0 proc.) rozważa możliwość powrotu na stałe do Polski, a 17,2 procent tej możliwości rozważa nawet często. Najczęstszym motywem pragnienia powrotu do Polski jest poczucie więzi z Polską (43,0 proc.), a następnie poczucie obcości i wyobcowania w RFN (16,8 proc.), pragnienie połączenia się z rodziną (15,9 proc.).

Oto oryginalne wypowiedzi respondentów, świadczące o ich silnym związku z krajem i pragnieniu powrotu do niego: „Moje myśli i serce są w Polsce”, „Czuję się Polką i chcę być potrzebna mojemu krajowi”, „Kocham mój kraj”, „Tęsknię do Warszawy, do mojego domu, do języka polskiego na ulicy, do poczucia wspólnoty z ludźmi”, „Tam jest mój dom, moja rodzina, najbliżsi, mój język, moja kultura, moje wszystko”.

### W POLSCE ZŁE I TU ZŁE, ALE WOLĘ TU

Większość respondentów nie ma jednak zamiaru wracać do kraju i takiej możliwości nie bierze pod uwagę (34,5 proc.), a nawet nie chce o tym myśleć (21,1 proc.). Powody tak zdecydowanej postawy są różne. Najczęściej wymieniane są dwa: pierwszy to negatywna ocena sytuacji w Polsce (30,3 proc.), drugi to chęć ustabilizowania się w nowym świecie (28,9 proc.). Niektórzy nie myślą o powrocie, ponieważ na przeszkodzie stoją względy polityczne (8,3 proc.); inni, ponieważ sama myśl o tym sprawia im ból i powoduje wewnętrzne rozdarcie (6,9 proc.).

Oto oryginalne wypowiedzi respondentów odzwierciedlających ich motywacje: „Po dwudziestu latach jest już za późno”, „Tu żyję w wolności i dobrobyciu, a w Polsce jest czerwona zaraza”, „Nie wierzę, że w Polsce się zmieni”, „Niewolniczy system w Polsce odbiera mi chęć życia”, „Nie mamy prawa powrotu. W Polsce otrzymałem paszport w jedną stronę”, „Nie zgadzam się z panującą tam rzeczywistością polityczną”, „Odstasza katastrofalną sytuacją ekologiczną”, „Panujący tam ład społeczno-polityczny jest nieładem”, „Jest to niemożliwe ze względów politycznych, osobistych, po prostu nie mam prawa wjeżdżania do Polski i gwarancji, że mógłbym swobodnie wyjechać”, „Mąż jest Niemcem, mieszkam w RFN i moja rodzina również”, „Chcę mieszkać w państwie usfabilizowanym, o pewnym jutrze, gdzie można krytykować i wpływać na rząd”, „Urodziłem się w Anglii, tam mam rodzinę. Gdyby Polska odzyskała niepodległość, to byśmy się zastanawiali nad możliwością powrotu”, „Nie po to wyjeżdżałem, uciekałem”, „W Polsce źle i tu źle, ale wolę tu”.

### WIĘZ Z OJCZYZNĄ WYMAGA WZMOCNIEN

Więz z krajem u większości polskich emigrantów w Monachium jest silna. Nic dziwnego, bo dopiero niedawno go opuścili. Wydaje się jednak, że w ich stosunku do kraju rodzimego jest coś charakterystycznego, czego wprost nie wyrazili słowami, mianowicie widzą go nadal jako swoją Rodzicielkę. Są z nim związani całą swoją osobowością. Jednocześnie od czuwają swoistego rodzaju bezradność wobec niego. Odczuwają wewnętrzny niepokój z tego powodu, że go opuścili, że kontakt z nim nie jest zagwarantowany odpowiednimi przepisami, że są bezradni w organizowaniu dla niego pomocy, a przede wszystkim dla osób i miejsc, które zostawili. Może nie wyjechałby z kraju, może byłoby mniej kandydatów na emigrantów, gdyby... Co może miścić się w tym określeniu — gdyby?

Nie wystarczą zachęty do pozostania w kraju, przestrogi, że na obczyźnie czeka Polaka trudny los, że kraj też potrzebuje młodych, wykształconych, dynamicznych ludzi. Tendencji do emigracji nie zahamują także zarządzenia administracyjne ani ze strony Polski, ani ze strony krajów docelowych. Konieczne są tu inne działania, bardzo różnorodne. Takie, które jak magnes przyciągałyby ludzi do kraju rodzimego, które zakorzeniałyby na stałe w ziemi ojczewej.

Patriotyzm jako duchowa więź człowieka z Ojczyzną winna mieć swoje oparcie w posiadaniu. Ludzie żyjący w swoim kraju winni też mieć ten kraj w posiadaniu, i to w dosłownym znaczeniu. A mieć w posiadaniu kraj, to znaczy mieć wpływ na jego życie, uczestniczyć w jego rozwoju i coś w nim mieć swojego. Zrozumiałe, że łatwo opuszcza kraj ten, kto niewiele lub nic w nim nie ma i nieczego nie posiada. Tak było zawsze. Ze strony państwa musi zatem nastąpić poszerzenie podmiotowości obywateli, tzn. danie im większej możliwości wpływu na życie publiczne, na kształtowanie rozwoju społecznego i gospodarczego; ułatwienie im (a nie utrudnianie) posiadania w tym kraju własności o rozmiarach wyznaczanych prawami osoby ludzkiej w wymiarze życia indywidualnego i społecznego.

Tożsamość kulturalno-etniczna i więz z krajem rodzimym jest czymś żywym; te kategorie mogą rozwijać się i słabnąć aż do zaniku. Historia naszego kraju dowiodła i przekonuje, że Polacy żyjący poza krajem stanowią ogromny potencjał narodowy żywo reagujący na losy kraju. Ci Polacy wybitnie pomogli w odzyskaniu niepodległości po latach niewoli i pomagają obecnie. Kraj rodzimy winien zatem robić wszystko, by ogromną rzeszę Polaków utrzymać w żywej łączności z kulturą narodową i krajem rodzimym. Jest to potrzebne także dla prawidłowo rozwijających się osobowości Polaków żyjących za granicą. Potrzebują oni treści tej kultury, z której wyszli oni sami lub ich ojcowie i dlatego:

1. Konieczna jest jeszcze dalsza modyfikacja przepisów prawnych, aby Polacy żyjący za granicą mogli swobodnie, bez komplikacji, odwiedzać swój kraj rodzimy lub wrócić do niego na stałe. Mają do tego prawo, tak jak każdy człowiek ma prawo powrotu do swojego rodzinnego domu.
2. Należy stale zasilать nowymi treściami kulturowymi Polaków za granicą przez doskonale przygotowaną książkę, prasę, bezpośrednie kontakty twórców i badaczy kultury polskiej.
3. Należy wspierać, ożywiać, a gdzie trzeba — zakładać nowe organizacje, centra polonijne o charakterze kulturalnym, religijnym i społecznym.

Działania tego typu kształtują wśród emigrantów przekonanie, że kraj rodzimy jest ich sprzymierzeńcem i obrońcą. Wzmocnia to w nich poczucie wartości i pewności, które jest niezwykle cenne dla prawidłowego wchodzenia w nowe społeczeństwo. Z przybysem, za którym nie stoi powaga i znaczenie kraju, z jakiego wyszedł, nie bardzo też się liczy społeczeństwo, w które wchodzi

Ksiądz doc. dr hab. L. Dyczewski,  
kierownik Katedry Socjologii Kultury  
Wydziału Nauk Społecznych  
KUL.

# ZNIKNEŁO 30 HEKTARÓW ZIEMI GDZIE JEST PARK „RURY”?

## Zbigniew Dzięciołek

**W** OSIEDLU „Sienkiewicza” (LSM) zawrzało. Ludzie skrzyknęli się i napisali skargę do generała.

— Nie będziemy bawić się z władzami miasta w ciuciubabkę — mówią. — Chcą nas po prostu nabić w butelkę. Miały być zielone płuca, a będą spółdzielcze domki.

Wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu...

W 1969 roku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie zatwierdziło ogólny plan zagospodarowania przestrzennego miasta. Zgodnie z planem, rozległy obszar ziemi, usytuowany w dolinie pomiędzy obecnymi osiedlami Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej a Spółdzielni Mieszkaniowej „Czuby”, został przeznaczony na zieleni parkową. Park „Rury”, bo taką nazwę nadano tym terenom, miał być miejscem rekreacji lublinian.

Mijały lata, zbocza wąwozu pokryła dziko rosnąca trawa, a szlachetne deklaracje rajców miejskich pozostały na papierze. Na początku lat osiemdziesiątych wizja parku zaczęła się jakby urzeczywistniać. Od strony ul. Nadbystrzyckiej uporządkowano teren, wytyczono alejki, postawiono pomnik ku czci pomordowanych w okresie drugiej wojny światowej, posadzono drzewka i... na tym się skończyło. Dalsza część wąwozu nadal leżała odłogiem, stając się ulubionym miejscem okolicznych pijacków.

Mniej więcej w połowie 1980 roku mieszkańcy osiedla im. H. Sienkiewicza postanowili samorzutnie zagospodarować zbocza doliny — powstały pierwsze działki ogrodowe. Jako że teren ten jest własnością skarbu państwa, zwrócono się z prośbą do władz miasta o czasowe przekazanie części przysięgłego parku Polskiemu Związkiowi Działkowców (Woj. Zarząd w Lublinie). W 1982 roku prezydent wyraził pisemną zgodę na utworzenie ogródków działkowych o powierzchni 8,6 hektara.

— Panie — mówi nerwowo wiceprezes Pracowniczych Ogródków Działkowych im. H. Sienkiewicza, Zbigniew Głogowski. — Jaki w tym urządzenie jest balagan. Dali pozwolenie w 82 roku, zarejestrowaliśmy się w Warszawie też w 82, płacimy podatki, a oni nam przysyłają w 1984 roku pismo, gdzie stoi czarno na białym, że uprawiamy ziemię bezprawnie.

„[...]»Czasowy» ogród» działkowy — czytam w piśmie z Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego — jaki powstał na terenie Parku „Rury”, jest przykładem samowoli budowlanej, ponieważ nie zostały dopełnione niezbędne formalności prawne związane z powstaniem ogrodu. Ponadto nie posiada on żadnego statusu prawnego [...].”

— Ko tu z kogo robi wariata? — denerwuje się Zbigniew Głogowski. — A jeszcze piszą, że urządziliśmy działki na terenie parku. To co, drzewa powycinaliśmy? Przecież tu była pustynia, kupa badyli i nic więcej.

210 działek, o powierzchni 300 m kw. każda, ponumerowano, wytyczając między nimi alejki. W ciągu kilku lat wyrosły tu tysiące krzewów i drzew owocowych. Na głównej alei, dzielącej ogródkę na dwie części, postawiano ławki.

— Tu przesiadują nie tylko działkowcy — mówi prezes POD, Jerzy Szczepański. — Nieraz całymi klasami przychodzą dzieciaki z pobliskich szkół. Latem to wymarzone miejsce wypoczynku.

— Wiedzieliśmy jednak o tym, że działki uprawiamy czasowo — dodaje prezes — to znaczy do chwili rozpoczęcia budowy parku. Nie ukrywam, iż chcieliśmy nadal pozostać ich użytkownikami. Parku jak nie było, tak nie ma, a my zaproponowaliśmy władzom miasta utworzenie ogrodu-parku.

25 czerwca 1986 roku odbyło się spotkanie mieszkańców LSM z udziałem przedstawicieli dzielnicowych organizacji społeczno-politycznych, na

którym jednomyślnie uchwalono projekt budowy w czynie społecznym ogrodu-parku „Rury”. Działkowcy zobowiązali się dodatkowo wyłożyć na ten cel jeden milion złotych, a Zarząd Wojewódzki i Krajowa Rada Polskiego Związku Działkowców zadeklarowała kupno potrzebnych drzewek i krzewów. Miały być wytyczone aleje spacerowe, planowano budowę placów gier i zabaw sportowych dla dzieci i młodzieży.

— To była uczciwa propozycja — stwierdzają obaj prezesi. — Działki zostają, ale w zamian za to zagospodarujemy resztę wąwozu, przekształcając go w rzeczywisty park. Niestety, władzom nie spodobał się nasz pomysł. Z Urzędu Miasta otrzymaliśmy pismo, w którym ze zdziwieniem przeczytaliśmy, że: „[...]»Urząd»ony Park »Rury« będzie służył wszystkim mieszkańcom miasta Lublina, natomiast lansowana przez niewielką grupę osób koncepcja ogrodu-parku zaspokajałaby ambicje i potrzeby [...] wąskiego grona szczęśliwców, którzy posiadają lub otrzymaliby w przyszłości działki [...]”.

Wszędzie, gdzie wysyłali pisma w tej sprawie, odpowiadało im, że teren ten jest szczególnie chroniony, że działki spowodują erozję gleby itd. W trosce o ich zdrowie postanowiono, iż będzie tu tylko park. Działkowcy pogodzili się z wizją utraty działek. Jak park to park. W końcu i on będzie nam służyć — mówili.

Okazało się jednak, że nie wszyscy uwierzyli w zapewnienia władz.

— Proszę pana! — mówi Zbigniew Głogowski. — Już w 1979 roku próbowano rozpocząć tu budowę domków jednorodzinnych. Zwieziono budulec i ogrodzono teren. Nic z tego na szczęście nie wyszło, bo mieszkańcy przyległych osiedli w nocy rozebrali ogrodzenie. Zgromadzone materiały z powrotem wywieziono. Kto? Dla kogo? Domyślać to się domyślam, ale dowodów na to nie mam.

Problem z domkami „odżył” w drugiej połowie lat 80. Napisał do KC Z Warszawy przyszło pismo zawiadamiające, że sprawa została przekazana do KW PZPR w Lublinie. Owcześnie wojewoda lubelski, Tadeusz Wilk, w piśmie z dnia 20.04.88 r., wysłanym do jednego z mieszkańców osiedla „Sienkiewicza”, wyjaśniał:

„W związku z listem Obywatela adresowanym do I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, tow. W. Jaruzelskiego w sprawie zagospodarowania terenu pomiędzy osiedlami LSM oraz Spółdzielni Mieszkaniowej »Czuby« — pragnę uprzejmie poinformować, że sprawa ta była przedmiotem szczegółowego postępowania wyjaśniającego w trybie administracyjnym. Całościowa ocena stanu faktycznego i istniejąca dokumentacja prawna w sprawie nie potwierdza stanowiska Obywatela wyrażonego w liście, że teren ten przeznaczony na zieleni parkową zmieniany jest w zabudowę domków jednorodzinnych. [...] teren o pow. 70 ha przewidziany jest pod budowę parku [...] Stan ten potwierdza zatwierdzony przez Miejską Radę Narodową w Lublinie w dniu 30 grudnia 1986 roku plan zagospodarowania przestrzennego Lubelskiego Zespołu Miejskiego [...]”.

Tyle wojewoda.

Sprawa na razie „ucichła”. Na stoku granicznym z osiedlem „Konopnickiej” posadzono kilkadziesiąt drzewek, przybyło kilkadziesiąt „dzikich” działek. Zle utwardzone skarpy ulegały erozji. Powoli kończono budowę ostatnich bloków w osiedlu „Ruta”, przylegającym bezpośrednio do drugiej strony wąwozu.

5 kwietnia 1989 roku odbyło się w siedzibie „Inwestprojektu” w Lublinie zebranie przedstawicieli tej firmy z członkami POD im. H. Sienkiewicza. Wtedy to działkowcy dowiedzieli się oficjalnie, że ogródki działkowe prze-

Dokończenie na str. 13



# MATURZYŚCI ROKU WOJNY

## Zbigniew Miazga

**T**EZ był maj. Przecięte „na krzyż” uczniowskie czapki, z fantazją zszyte kolorową nicią przez „najdroższe”, obwieszczają z daleka: maturzyści!

Tak, czuli już podmuch nadszycych wielkich wydarzeń. Ale nie wierzyli, żeby świat, w szczególności świat ich kilkunastoletnich marzeń, miał lec w gruzach. Gdy myśleli o żołnierskim mundurze, to miał to być mundur studenta wojskowej szkoły. I takie, w większości, planowali kariery. Lecz także inżynierskie, lekarskie, dyplomatyczne, w państwowej administracji. Oni, czyli 54 lubelskich maturzystów-„staszczaków” roku 1939.

**N**A odwrócie ozdobnego kartonika: „...Wielu zginęło, ale żyje nas jeszcze sporo w Ojczyźnie i rozproszonych po świecie. Spotkamy się znów w Lublinie w Gimnazjum i Liceum im. St. Staszica w 50-letnią rocznicę naszej matury. Zapraszamy serdecznie na koleżeńskie spotkanie 26 i 27 maja 1989 roku...”

Mówi organizator zjazdu, znany lubelski lekarz, Lucjan Ważny:

— Nie żyje 22 spośród nas, nie znam losów dwóch kolegów, o 30 wiem mniej lub trochę więcej... Osiem zaproszeń zaadresowałem do Anglii, trzy do Stanów Zjednoczonych, jedno do Kanady, a kilkanaście rozesłałem po Polsce. Przyjadą, potwierdzili to już...

Powiększy się więc w te dni archiwum doktora Lucjana Ważnego. On to bowiem, nieoczekiwanie nawet dla siebie, stał się kronikarzem „staszczowskich” dziejów i losów maturzystów jego rocznika.

— Dlaczego po tylu latach pamiętamy tę szkołę, dlaczego tak ją lubiliśmy? Przecież nie wymyślono tam niczego nadzwyczajnego; nie odkryto nowych praw rządzących fizyką, chemią czy matematyką, nie wymyślono nowych reguł społecznych ani ideologii. Ta szkoła była czymś powszednim, a zarazem nadzwyczajnym. Tutaj codziennie, w prosty sposób, prawie niewidoczny, dawano nam wiedzę i jakąś wewnętrzną moc, która tak bardzo przydać się miała w czasach grozy, które nadeszły po maturze.

Wychowano nas w wielkim kulcie pracy („pracowity” znaczyło wiele wię-

cej aniżeli „zdolny”), ale także wiedzy i fachowości; wpajano szacunek dla autorytetów i społecznej hierarchii. Egalitaryzm był uważany za coś, co „ciągnie” państwa i narody w dół, nie pozwala im się rozwijać. Mimo że w profesorskim gronie byli zwolennicy sanacji, ludowcy i lewicujący, polityka nie wkraczała do lekcyjnych sal. A jedynym, który „oblał” maturę, był czołowy działacz Straży Przedniej (organizacja młodzieży sanacyjnej), lecz słaby uczeń. Pamiętam jeden tylko przypadek kradzieży: z pracowni chemicznej skradziona została butelka z kwasem solnym, sprawca wyrzucony został ze szkoły z „wilczym biletem”. Na lekcjach poświęconych „zagadnieniom życia współczesnego” uczono nas, że powinnością Polaka jest znajomość historii, dbałość o czystość języka, ale także zasadzenie drzewa i obsianie pola.

Wśród nas, uczniów, największą grupę stanowili synowie zawodowych wojskowych, wielu też pochodziło z rodzin urzędniczych, kolejarskich, chłopskich, a fabrykanta mieliśmy tylko jednego. Nie było „klasowych” antagonizmów, ani konfliktów polsko-żydowskich. Atmosfera była wspaniała. Może jeszcze jeden szczegół: wicewojewoda Długocki — jak mi opowiadano — na zebranie rodzicielskie oczekiwał pokornie, wśród innych, na korytarzu. A może nadarzy się też kiedyś okazja, by wspominać naszych profesorów — erudyków, znakomitych wychowawców, a przy tym niezwykle barwnych.

**N**ADSZEDŁ maj 1939 roku. Wtedy to nasz nadworny poeta, Wojtek Książczycki, napisał:

„Matura się zbliżała jak przeokropna zmora,

Musiałeś być dojrzałym, bo przyszła twoja pora”.

Egzamin pisemny poszedł mi dobrze (z języka polskiego otrzymałem piątkę, a z niemieckiego — czwórkę), do ustnego przystąpiłem już z lżejszym sercem. Czekalem przed drzwiami razem z Zbyszkiem Olszowskim (nie żyje już), który trzymał w ręku różaniec i odmawiał „zdrowaśki”. Tego, co przeżywaliśmy, nie zrozumiem ten, kto nie ma za sobą „przedwojennej matury”. Nie potrafiłem wytłumaczyć tego także swoim córkom, które z eg-

zaminem dojrzałości uporały się niemal „w biegu”.

Pamiętam, że gdy wszedłem do sali, zwróciłem uwagę na szczególną elegancję egzaminatorów. Świeżo ostrzyżeni, wymuskani, w białych koszulach. Profesor Józef Klinhoffer (dzięki niemu językiem niemieckim posługuję się do dziś bez słownika) był w muszce, prof. Eugeniusz Santocki (polonista), zwykle dość niedbale ubrany, lśnił nowym ukamieniem, nie mówiąc już o moim ukochanym historyku, prof. Janie Dobrzańskim, który jako arbiter elegantiarum mógł rywalizować z samym Petroniuszem. Dział wiem, że zrobili to dla nas, dla okazania nam szacunku.

Egzamin trwał — porównajcie dzisiejsi maturzyści! — półtorej godziny. Po latach, w szkolnym archiwum, odnalazłem pytania wówczas mi postawione. Może zainteresują czytelników „Relacji”. Z języka polskiego:

1. Piotr Skarga na tle epoki. Dowolny urywek Kazan Sejmovych powiedzieć z pamięci.

2. Hasło: „Sztuka dla sztuki” — jego interpretacja.

Zdając język niemiecki, miałem wykażać się znajomością dziejów dramatu niemieckiego przed Lessingiem, jak też i twórczości rzeźbionego Lessinga.

I pytania z historii:

1. Jedność narodowa Greków w starożytności. Obszary skolonizowane przez Greków.

2. Okres rozbitcia dzielnicowego w Polsce; czynniki zjednoczeniowe.

3. Hitlerizm. Komunizm.

4. Polityka zagraniczna Niemiec hitlerowskich.

Ten ostatni temat zaczynał nabierać praktycznej i przerażającej aktualności. Absolwenci „Staszica” trafili wkrótce do Junackich Hufców Pracy, budujących fortyfikacje na granicach Polski. Pierwsza tura od połowy lipca do połowy sierpnia pracowała w Kołłowicach na Śląsku, mając przed oczami ogromną swastykę (w nocy oświetloną setkami żarówek), oznaczającą początek terytorium Rzeszy. Powrócili do Lublina, by wkrótce wziąć udział w obronie miasta. Druga grupa wyjechała 15 sierpnia. Kierunek: Goniądz koło Grajewa, na granicy z Prusami Wschodnimi. Wyjeżdżali także na miesiąc...

**Z**BYSZEK Budzyński, wówczas jasnowłosy, wysoki i silny, zapalony harcerz, tak po latach wspominać będzie swoją i kolegów historię:

— Pracowaliśmy nad umocnieniem linii obronnej twierdzy Osowiec. Taczkami woziliśmy ziemię do stanowisk artyleryjskich, przeważnie dla działek ppanc. Były wyznaczone normy, ale my pchaliśmy jeszcze 10–15 dodatkowych taczek, jak to się mówiło: „Ku chwale Ojczyzny”. Po pracy powróciłem do koszar, czyli do szkoły w Goniądzu.

Nadszedł 1 września. U nas początkowo nic się nie zmieniło. Tylko nad głowami przelatywały niemieckie samoloty, które do nas nie strzelały ani nie zrzucały bomb — leciały na południe. Jeszcze kilka dni woziliśmy ziemię na fortyfikację, potem ewakuacja. Pociągiem dojechaliśmy — było nas ponad 100 junaków-maturzystów z Lublina, Krakowa, Częstochowy i Płocka — do Białegostoku, a potem do Lidy. W miejscowych koszarach junackie mundury zamieniliśmy na wojskowe. Nasze rekruckie szkolenie trwało do 17 września. Była to niedziela, cały „stan osobowy” słuchał właśnie mszy, gdy do dowódcy podbiegł goniec i szepnął mu coś do ucha. Zaraz padł rozkaz: „Czapki włóż” i następną komenda: „Do koszar marsz”. Tam oznajmiono nam, że dzisiaj rano wojska sowieckie przekroczyły granice Polski. Wydano nam ostrą amunicję i granaty; z munduru harcerskiego, w którym przyjechałem do Goniądza, odpiąłem krzyż harcerski, wyjąłem parę drobiazgów z kieszeni i wrzuciłem do chlebaka.

W wojsku, szeregowym nie mówi się wszystkiego, więc i my nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy. Po całonocnej jeździe pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Dowódca jednego z plutonów wybrał „na ochotnika” ze dwudziestu chłopów, w tym i mnie. Rozkaz brzmiał: „Maszerujemy do Ejszyszek”, i wyjaśnienie, że Białorusini napadają na Polaków, a naszym zadaniem będzie utrzymanie miasteczka do czasu nadejścia wojsk sowieckich. Po służbie patrolowej wszedłem na posterunek policji, aby trochę przespać się. Bo wiadomo, że żołnierz, gdy nie maszeruje i nie je — to śpi. Patrząc, a tu leżą nowiutki wojskowe saperki. Przymierzam — akurat na moje nogi. Zasnąłem, ale obudziły mnie krzyki. W parę sekund byłem w mundurze i nowych saperkach, zostawiając w zamian „wolniejsze” do wkładania kamusze z owijaczami. Jeszcze karabin, amunicja, granaty i jestem w samochodzie ciężarowym, którego silnik już pracował. Spojrzałem na kwadratowy rynek Ejszyszek — z różnej ulicy zaczął się wysuwać rosyjski czołg idący na półświatłach, za nim drugi, trzeci. Nie było rozkazu do otwarcia ognia, nasz samochód ruszył i wypadł z miasteczka.

Po przyjeździe do Grodna dołączyliśmy do stacjonującego tam wojska. Nie były to bojowe jednostki, tylko różne „osrodki zapasowe”, a i uzbrojenie też było kiepskie, gdyż wszystko co najlepsze wyruszyło jeszcze w sierpniu na front niemiecki. W nocy alarm — czołgi sowieckie w mieście. Nie było działek ppanc., walczyliśmy z nimi granatami i butelkami z benzyną. Nad ranem, gdy się rozwidniało, znalaziono gdzieś działko przeciwlotnicze. Ustawione naprzeciw mostu, strzelając ogniem na wprost, zmusiło „tanki” do odwrotu. ▲ te, które nocą przedarły się do miasta, zniszczone zostały granatami i butelkami z benzyną. Wynaszerowaliśmy nad Niemem, by tam okopać się. Przez Grodno szliśmy z karabinami gotowymi do strzału, gdyż jacyś partyzanci, a przede wszystkim Żydzi, strzelali z okien domów do polskich żołnierzy. W okopach nad Niemem przeleżeliśmy całą noc. Rano zaczęła walić artyleria, odezwały się karabiny maszynowe, a przez rękę rozpoczęły przeprawę oddziały piechoty sowieckiej. Przyszedł rozkaz: „Wyciąć się”. Nie mieliśmy ani artylerii, ani broni ppanc., ani ciężkiej broni maszynowej... Kolumna nasza wyruszyła w kierunku na Orany.

23 września — dobrze pamiętam tę datę, bo akurat skończyłem 19 lat — doszliśmy do granicy litewskiej. Sie-

Dokończenie na str. 13



Do tego zdjęcia maturzyści ze „Staszica”, wraz ze swoimi nauczycielami, pozowali dokładnie 50 lat temu.







TV

CZWARTEK  
25 MAJA

**PROGRAM I**

8.55 Program dnia  
9.00 Dla młodych widzów: „Dzieci kapitana Granta” — film prod. ang. wg powieści Juliusza Verne’a  
10.35 „Wowrowy rodzi się bóg” — film dok. Zofii Hąloty  
10.50 Wędrowki dalekie i bliskie: „Hiszpania przed Rzymianami” — film dok. prod. belgijskiej  
11.25 Między wiosną a latem (1): Turniej gmin (Stryżewa i Kielowki z woj. białoskopodlaskiego)  
12.25 Teatr dla dzieci: Junji Kinoshita „Wieczorny żuraw”  
13.20 Na cyrkowej arenie  
14.25 Między wiosną a latem (2)  
15.25 Film dokumentalny  
16.45 Między wiosną a latem (3)  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Orchard Lake” — Seminarium duchowe polskie — film dok. Jerzego Passendorfera  
18.10 Pod pomnikiem Chopina — gra Jerzy Romaniuk  
18.35 „Byłaś wtedy młodsza, mammo...” — film dok. Mariana Kubery  
19.00 Wieczorynka: Bracia Mowglięgo  
19.30 Dt  
20.05 „07 zgłoś się” (3) — „Przerwany urlop” — serial krym. TVP  
21.50 Pegaz  
22.35 Wokół wielkiej sceny

**PROGRAM II**

13.45 Program dnia  
13.50 „Mama” — film obycz. prod. rum.  
15.20 „Polacy” — film dok.  
16.20 Wielka interpretacja — Władysław Kłosiowski gra IV Partię D-dur Jana Sebastiana Bacha.  
16.50 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina  
17.05 Umieranie wieku — poezja Osipa Mandelsztama  
17.45 Aktualności kulturalne  
18.05 Legendy filmu — Dustin Hoffman  
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic  
19.30 Galeria „Dwójki”  
20.00 Wolfgang Amadeusz Mozart: Wielka Msza C-moll ke. 427  
21.00 Studio sport  
21.30 Panorama dnia  
21.50 Kino Studyjne „Dwójki”: „Brzemię marzeń” — film dok. prod. USA  
23.20 Komentarz dnia

**PIĄTEK  
26 MAJA**

**PROGRAM I**

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Dt — dodatek gospodarczy  
9.40 „Uciekajmy, już idzie” — komedia obycz. prod. CSRS  
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości  
15.55 Intersygnal — magazyn państw socjalistycznych  
16.25 Dla młodych widzów: Ramba — teleturniej  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Kto w twoim imieniu?  
18.00 Z Polski rodem — magazyn polonijny

18.20 Skarbiec  
18.50 10 minut  
19.00 Dobranoc: Sąsiedzi  
19.10 Monitor rządowy  
19.30 Dt  
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „West Side story” — musical prod. USA. Reż. Robert Wise i Jerome Robbins  
22.35 Kto w twoim imieniu?  
22.50 Spór o jutro: Otwarte studio  
23.50 Dt — echa dnia

**PROGRAM II**

16.55 Język angielski (59)  
17.25 Program dnia  
17.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Lokalne studio wyborcze  
19.00 Skoro-widz — magazyn kulturalny  
19.30 Dookoła świata: 42 dni na rorowcu  
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Święto słowa — Świdnica '89  
22.15 Publicystyka kulturalna

**22.35 Filmy Johna Hustono: „Noc Iguan” — film prod. USA**

0.25 Komentarz dnia

**SOBOTA  
27 MAJA**

**PROGRAM I**

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Program dnia  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fraggelsi” — serial prod. ang.  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 Stare, nowe, najnowsze  
11.25 Zdrowie — wojskowy magazyn public.  
11.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Odkrycia Portugalczyków” — film dok. prod. portugalskiej  
13.05 Spojrzenia: Czy wiem wszystko o ZSRR (1) — teleturniej  
13.40 Telewizyjny Teatr Prozy: „Opowiadanie z psem”. Adapt. i reż. Stanisław Brejdygant. Wyk.: Władysław Hańcza. Henryk Borowski  
14.30 Do trzech razy sztuka.  
15.00 Komedia, komedie, komedie: „Skradzioną kolekcja”  
16.30 Cząsy „Ogniem i mieczem” — program publicystyki kulturalnej  
17.05 Losowanie Dużego Lotka  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio wyborcze  
18.00 Prezydenci: Chester A. Arthur  
18.30 Butik  
19.00 Dobranoc: Podróże kapitana Klipera  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt  
19.30 Dt  
20.05 „Pat Garrett i Billy Kid” — western prod. USA  
21.45 Studio wyborcze  
22.00 Tydzień w polityce komentuje Karol Szyndzielorz  
22.10 Telewizyjny przegląd sportowy  
22.30 Mistrzostwa Europy Formacji Tanecznych — relacja z Olsztyna  
23.20 Dt — wiadomości  
23.25 Jutro w programie  
23.30—1.00 Kino sensacji: „Przemoc” — film fab. prod. franc.

**PROGRAM II**

11.30 Trzy godziny z Telewizją Katowice  
14.30 W świecie ciszy — program dla niesłyszących  
14.55 Powitanie  
15.00 „Ordyn”: „Historia fo-

tografii” — film animowany prod. japoń.  
15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki  
15.40 Tajniki przyrody: „Biała śmierć — nowe życie” — film dok. prod. ang.  
16.10 Meandry architektury.  
16.40 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” — odc. 4 pt. „Bazar czy rewolucja” — serial fab. TVP

**18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska**

18.30 Lokalne studio wyborcze  
19.00 Program rozrywkowy  
19.30 Alfa i omega  
20.00 Tancerz (2) — program TV ang.  
20.05 „Konserwa ze znakiem jakości” — portret aktora Igora Przegrodzkiego  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Chateaufallon” (3) — serial fab. prod. francusko-luksemburskiej  
22.40 Studio Festiwalu Filmów Krótkometrażowych — Kraków '89  
22.55—23.00 Komentarz dnia

**NIEDZIELA 28 MAJA**

**PROGRAM I**

8.55 Program dnia  
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Kto, ja, panie psorze?” (3) — serial prod. ang.  
10.30 Dt — wiadomości  
10.35 „Wawel Jana III” — film dok. Artura Janickiego  
11.15 Kraj za miastem  
11.45 Studio sport: Sporty motorowe  
12.45 Telewizyjny koncert żywych  
13.30 Morze — magazyn publicystyczny  
13.50 Teatr Młodego Widza: Jean de la Fontaine — „Bajki”  
14.30 Marek Sierocki zaprasza  
14.50 Trzy rundy — widowisko publicystyczne  
15.35 „Katarzyna” (9) — serial kostiumowy prod. franc.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat  
18.00 Antena  
18.30 „Panna dziedziczka” (2) — serial fab. prod. brazylijskiej  
19.00 Wieczorynka: Smurfy  
19.30 Dt  
20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (2) serial TVP  
21.05 Siedem dni: Świat  
21.35 Sportowa niedziela  
22.25 „Sławne kobiety i ich czasy” — odc. 5 pt. „Anna Pawłowa” — serial dok. prod. franc.  
23.20 Wyniki Totalizatora Sportowego  
23.25 Dt — wiadomości  
23.30 Jutro w programie

**PROGRAM II**

9.20 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących  
9.50 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (2) — serial fab. TVP (dla niesłyszących)  
10.50 Krótkofalowy  
11.20 Lokalny koncert żywych  
11.45 Jutro poniedziałek  
12.15 Powitanie  
12.20 Polska Kronika Filmowa  
12.30 Kino rodzinne: „Powrót na Wyspę Skarbow” (6) — serial przyg. prod. ang.  
13.20 100 pytań do...  
14.00 „Polacy” — film dok.  
14.40 Podróż w czasie i przestrzeni: „Japonia” odc. 1 pt. „Elektroniczne plemię” — serial dok. prod. ang.  
15.35 Festiwal muzyczny w Ankarze  
16.05 Być tutaj: Dzwonnice drewniane — gawęda prof. Wiktora Zina  
16.20 Kulejdoskop filmowy „Kino-Oko”

17.15 Aktualności kulturalne: Studio X Łódzkich Spotkań Baletowych  
17.30 Bliżej świata  
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic  
19.30 Galeria 37 milicjów  
20.00 Studio sport  
21.00 Program publicystyczny

**21.30 Panorama dnia**

21.45 „Wichry wojny” (11) — serial fab. prod. USA  
22.35 Komentarz dnia  
22.40 Studio Festiwalu Filmów Krótkometrażowych — Kraków '89  
22.25—23.10 Dobranoc tylko dla dorosłych

**PONIEDZIAŁEK  
29 MAJA**

**PROGRAM I**

16.05 Program dnia. Dt — wiadomości  
16.10 Radar  
16.25 Luz — program nastolatków  
17.15 Teleexpress  
17.30 Kto w twoim imieniu?  
18.00 Echa stadionów oraz magazyn żeglarski  
18.30 Laboratorium: Alchemia  
18.50 10 minut  
19.00 Dobranoc: Jak zostać dużym  
19.10 Gorące linie: Niezapłacony rachunek  
19.30 Dt  
20.05 Teatr Telewizji: J. B. Priestley — „Pan inspektor przyszedł”. Reż. Konrad Szolajski  
21.10 Kto w twoim imieniu?  
21.25 „Pióro i karabela” (1) — tryptyk dok. o Ksawerym Pruszyńskim  
22.35 Rozmyślenia prof. Mariana Stępnia  
22.45 Dt — echa dnia  
23.05 Język niemiecki (29)

**PROGRAM II**

16.55 Język niemiecki (28)  
17.25 Program dnia  
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
17.45 Ojczyzna-polszczyzna  
18.20 Program lokalny  
18.30 Lokalne studio wyborcze  
19.00 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych  
19.30 Shi Shu Cheng gra utwory Fryderyka Chopina  
20.00 Rozmowy o cierpieniu  
20.15 Jarmark w skansenie — wiadomości public-artyst.

**21.30 Panorama dnia**

21.45 Biografie: „Hemingway” (1) — „Wiosna zachowana w pamięci” — serial prod. ang. Reż. Anna Benson Gyles. W roli gl. Marc Smith  
22.45 XXVI Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych  
23.05 Komentarz dnia  
**WTOREK  
30 MAJA**  
**PROGRAM I**  
8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Dt — dodatek gospodarczy  
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (9) — serial obycz. prod. CSRS  
10.35 Domator  
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości  
16.05 Gazeta rolnicza  
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak  
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (32) — serial animowany prod. austriackiej  
17.15 Teleexpress  
17.30 Kto w twoim imieniu?  
18.00 „Następny proszę” (5) — „Koniec epoki” — serial obycz. prod. ang.  
18.50 10 minut  
19.00 Dobranoc: Przygody bączka i paczka  
19.10 Report S — wydanie specjalne

19.30 Dt  
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (9) — „Woda” — serial obycz. prod. CSRS  
21.00 Kto w twoim imieniu?  
21.15 Konferencja prasowa rzecznika rządu  
21.30 „Pióro i karabela” (2) — tryptyk dok. o Ksawerym Pruszyńskim  
22.30 Studio „Solidarność”  
23.15 Dt — echa dnia  
23.35 Język angielski (30)

**PROGRAM II**

16.55 Język angielski (30)  
17.25 Program dnia  
17.30 „Szokujące nowości. U progu sztuki współczesnej” (12) — serial dok. prod. ang.  
18.00 Program lokalny  
18.30 Lokalne studio wyborcze  
19.00 „Wojna domowa” (3) — „Wywiadówka” — serial TVP  
19.30 Bliisko nieba — magazyn alpinistyczny  
20.00 Za chwilę dalszy ciąg programu — program rozrywkowy  
21.00 Powrótka z historii — Król Stanisław August Poniatowski (2)  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Bartłomiej Farrar” (3 — ostatni) — film prod. ang.  
22.40 Komentarz dnia  
22.45 Czas książki — spotkanie z Andrzejem Kurzem

**SRODA  
31 MAJA**

**PROGRAM I**

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Wielka atrakcja, czyli popisowy numer” — film fab. prod. ZSRR  
10.45 Domator  
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości  
15.55 Losowanie Express i Super Lotka  
16.05 Telewizyjny informator wydawniczy  
16.25 Dla młodych widzów: Latający Holender  
16.50 Cojak  
17.15 Teleexpress  
17.30 Kto w twoim imieniu?  
18.00 Spojrzenie: Final teleturnieju wiedzy o ZSRR (2)  
18.30 Dawniej niż wczoraj.  
18.50 10 minut  
19.00 Dobranoc: Proszę słucha

**PROGRAM II**

17.25 Program dnia  
17.30 Dajcie mi szansę — program muzyczny z udziałem wybitnie uzdolnionych stypendystów Fundacji Sztuki Dziecka oraz zespołu dziecięcego „Tęcza”  
**18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska**  
18.30 Lokalne studio wyborcze  
19.00 „Harlem story” (3) — program rozrywkowy prod. RFN  
19.30 Argentyna — program dok.  
20.00 Klucz do nowej muzyki — o twórczości Zygmunta Krauzego  
21.00 Ze wszystkich stron świata — magazyn reporterów Programu 2  
21.30 Panorama dnia  
21.55 „W labiryncie” (22) — serial TVP  
22.25 997 — kronika kryminalna  
23.25 XXVI Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluszuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban, Sekretariat: Anna Wójtowicz.  
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.  
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.  
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.  
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.  
Informacja o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe.  
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830 Zam. 793. 12.05.1989 r. B-4.

## TOWARZYSTWO PRZEMYSŁOWO-HANDLOWE PRZED REJESTRACJĄ

# JAK SIĘ WYRWAĆ Z POZIOMU SUTERENY?

Leszek Wiśniewski

W SRÓD instytucji zgilotynowanych przez praktykę urzędywistniania nowego powojennego ładu znalazły się również tak szacowne i ważne dla gospodarki polskiej Izby Przemysłowo-Handlowe. Podzieliły los Kodeksu Handlowego, Izby Lekarskich, gield i innych instytucji II Rzeczypospolitej, uznanych za niesłuszne i niepotrzebne pozostałości minionej epoki. Teraz, na fali nawrotu do normalności i tradycji, przywoływane są na nowo. 25 kwietnia zawiązało się w Lublinie Towarzystwo Przemysłowo-Handlowe. Tak więc po Warszawie, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Toruniu i Szczecinie, lubelskie środowisko prywatnego biznesu postanowiło ubiegać się o rejestrację własnego przedstawicielstwa.

Projekt Statutu Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego w Lublinie formuluje cele:

— rozwijanie prywatnej własności środków produkcji i opartej na niej prywatnej przedsiębiorczości gospodarczej,

— rozwijanie i propagowanie inicjatyw i działań sprzyjających aktywności gospodarczej,

— rozpowszechnianie tradycyjnej etyki pracy i prowadzenia interesów i formy działania;

— reprezentowanie członków Towarzystwa i ochrona interesów w sprawach związanych z prowadzoną przez nich działalnością gospodarczą,

— tworzenie funduszy wspierających inicjatywy gospodarcze sektora prywatnego,

— wyrażanie opinii o projektach ustaw i ważniejszych rozporządzeń na szczeblu krajowym i lokalnym, dotyczących warunków funkcjonowania sektora prywatnego,

— popularyzowanie wiedzy ekonomicznej oraz praktycznych doświadczeń związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej,

— prowadzenie działalności informacyjno-wydawniczej i kulturalnej,

— organizowanie różnych form doradztwa, wykonywanie ekspertyz, studiów i badań na rzecz osób, przedsiębiorstw i instytucji krajowych i zagranicznych, podejmujących bądź prowadzących działalność gospodarczą,

— popularyzacja tradycji przemysłu, kupiectwa i rzemiosła,

— inicjowanie rozwiązań formalno-prawnych, związanych ze sferą działania Towarzystwa i współczesnictwo w ich realizacji.

Członkami Towarzystwa mogą być przedsiębiorcy prywatni, rzemieślnicy, kupcy, a także osoby popierające idee organizacji, dla których przewidziano status członków wspierających. Nie ma ono zakreślonych granic terytorialnych, a założyciele liczą bardzo na włączenie się do działalności biznesmenów z całego regionu środkowo-wschodniego. Właśnie założycieli, członków grupy inicjatywnej Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego gościliśmy w redakcji „Relacji”.

Tworzą tę grupę: Marian Buczek — były dziennikarz „Sztandaru Ludu”, właściciel sklepu „Cióch” w Lublinie, Tomasz Chareziński — pracownik firmy polonijnej, Zbigniew Korzeb — przedsiębiorca oraz dr Lesław A. Paga — pracownik naukowy KUL, ekonomista. Poproszeni o naświetlenie założeń programowych i intencji, jakimi

kierowali się podejmując działalność, powiedzieli:

**Lesław A. Paga:** — Ustawa o podejmowaniu działalności gospodarczej jest pierwszą literą alfabetu ekonomicznego. Należy teraz wypowiedzieć następne litery. Po to, by sektor prywatny mógł się rozwijać w analogii do nowoczesnych krajów: kapitalistycznych, a nie jako zbiór małych warsztatów, sklepików i prymitywnej, tandetnej produkcji. Poważne traktowanie tego sektora, jako formy rozwoju całej gospodarki, może być czynnikiem napędzającym procesy wzrostu ekonomicznego. Wprawdzie istnieje werbalna akceptacja takiego podejścia, lecz w praktyce występują poważne ograniczenia rozwoju tego sektora. Nadal utrzymuje się gorset fiskalny, nieliczenie się z potrzebami lokalowymi i lokalizacyjnymi, ograniczone są możliwości kredytowania prywatnego handlu i przedsiębiorczości.



Rys. Arkadiusz Derecki

Nowe przepisy i nowa sytuacja stworzyły szansę społeczną, nie zawsze oczywistą i zrozumiałą dla administracji, instytucji fiskalnych i kredytowych. Żebym był dobrze rozumiany: to nie jest kwestia roszczeniowa z naszej strony. Chodzi o odbudowanie relacji między tymi instytucjami a środowiskiem prywatnego biznesu w kierunku ich unormalnienia — o normalne warunki współpracy, jak to ma miejsce w nowoczesnych krajach. Chcemy artykułować interesy naszego środowiska, Uświadamić społeczeństwu i administracji, że może ono wypracować znacznie większe środki finansowe i wpłacać do budżetu większe sumy niż dotąd, pod warunkiem uzyskania możliwości działania oraz kontroli nad wydatkowaniem tych sum. Sprowadziłbym to do zdania, iż sektor prywatny, bogacąc się, może bogacić społeczeństwo.

**Zbigniew Korzeb:** — Będziemy starać się uświadomić, że stworzenie silnego sektora prywatnego nie dokonano się żywiołowo, bez współdziałania

administracji, fiskusa i bankowości. Bardzo często druga strona, nie mając doświadczenia, nie wie, jak się poruszać. Pragniemy sytuacji wzajemności, chcemy uzyskać pewien horyzont czasowy, pomóc sobie i administracji. Towarzystwo ma zorganizować, umocnić zdeintegrowane środowisko przedsiębiorców i handlowców, wykształcić solidarność zawodową, upowszechniając równocześnie tradycyjne cnoty naszej profesji, jak: solidność, odpowiedzialność, troska o dobre imię firmy czy klienta. Pragnęlibyśmy wyrugować z języka i społecznych nastawień pejoratywne hasło: „prywaciarz”, zastępując je pojęciami: kupiec, przemysłowiec, handlowiec, przedsiębiorca.

I jeszcze jedna sprawa. Nowa ustawa o rzemiośle wytworzyła sytuację, w której możliwość zrzeszania się w Izbach Rzemieślniczych uzyskały jedynie małe firmy, zatrudniające do 15 pracowników. Większe zakłady po prostu nie mają się gdzie skupić i my tworzymy tu pewną szansę. Nie znaczy to, że jesteśmy Towarzystwem tylko dla wielkich. Przeciwnie, mogą się u nas zrzeszać wszyscy, bez względu na wielkość kapitałów. Jesteśmy otwarci i obowiązują dobra wola i dobra wiara.

**Tomasz Chareziński:** — Towarzystwo nie ma zresztą zamiaru spełniać funkcji kontrolera jakości czy uczciwości, ani aparatu represyjnego wobec członków. Chcemy się raczej odwoływać do etyki, do pewnych zapomnianych kategorii. To, co nas odróżnia od innych podobnych stowarzyszeń — to chęć skoncentrowania się bardziej na działalności wspierającej rozwój sektora prywatnego, niż na formułowaniu ogólnych sądów na temat rozwoju gospodarki polskiej. Ci wszyscy, którzy prowadzą interesy i są zainteresowani rozbudową sektora prywatnego, winni się opowiedzieć za rozwojem Towarzystwa. Liczba i poparcie naszych członków określi, czy nasza inicjatywa będzie poważna.

**Marian Buczek:** — Wspominaliśmy już o tym, że do Towarzystwa mogą wstępować ludzie nie posiadający własnych firm, ale sympatyzujący z jego ideą. Zamierzamy powołać szereg zespołów przygotowujących stanowisko na walne zebranie członków i tam, poza praktykami, potrzebni będą eksperci z różnych dziedzin. Zamierzamy przeprowadzić w najbliższym czasie akcję korespondencyjną i informacyjną. W związku z tym chciałbym zaprościć do współpracy dziennikarzy lubelskich. Od nich zależy wyprostowanie 40-letniego krzywego odbicia wizerunku prywatnego przedsiębiorcy w oczach społeczeństwa.

Wszystkim zainteresowanym podaję adresy „skrzynek kontaktowych” w Lublinie. Deklaracje i informacje odbierać można w sklepie „Cióch”, ul. Długosza 5a, lub w Lubelskim Przedsiębiorstwie Produkcyjno-Handlowym przy ul. Norwida 7 (tel. 324-66).

Redakcja „Relacji” będzie sprzyjać i propagować idee Towarzystwa. Uważamy, że rozwój sektora prywatnego może przynieść gospodarce i społeczeństwu jedynie korzyści. Hasło: „Bogaćcie się i bogaćcie innych” przyjmujemy za własne.

## KTO JEST KIM W REGIONIE

**ALBICZUK** Bazyli. Lat 80. Malarz. Wystawy w wielu galeriach krajowych i zagranicznych (RFN, Szwecja, Wielka Brytania, USA). Urodzony i do dziś mieszkający w Dąbrowicy Małej w województwie białskopodlaskim.

Uważa, że człowiek powinien żyć w sposób naturalny, zgodnie z prawami przyrody i zasadami moralności. Jedynym ograniczeniem swobody ludzkich działań i myśli jest sumienie. Wypełnianie obowiązków podług praw natury jest źródłem wszelkiej ludzkiej satysfakcji.

**HERMASZEWSKI** Mirosław. Lat 47. Żonaty. Żona Emilia. Dwoje dzieci: Mirosław i Emilia. W 1964 roku ukończył jako prymus Oficerską Szkołę Lotniczą w Dęblinie, następnie pełnił służbę w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju. Od 1967 roku latał na nadźwiękowych samolotach MIG 21. W latach 1968—71 studiował w Akademii Sztabu Generalnego. Od 1975 roku dowódca pułku lotniczego. W 1978 roku odbył w Gwiazdnym Miasteczku pod Moskwą kurs dla kandydatów na kosmonautów. W 1978 brał udział w ośmiomiodowym locie stacji orbitalnej „Salut 6”. Od dwóch lat komendant Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Generał dywizji.

Sposób na życie: „Pracować w spokojnej atmosferze, nie pokazywać innym własnego pośpiechu i tak organizować pracę, by nie spieszyć się samemu. Odpoczywać z dobrą książką i utrzymywać kontakt z przyrodą”.

**MOROWIAK** Stanisław. Lat 34. Żonaty. Żona Barbara. Syn Hubert. Wieloletni pracownik Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Widząc częstą niemożność tej instytucji, w 1988 roku zmienił firmę, obejmując funkcję dyrektora przedstawicielstwa „Westy” w Lublinie.

Za sposób na życie uważa przede wszystkim bycie otwartym na ludzi i zdarzenia — bycie humanistą. Sposobem na życie może być także dobra książka, spacer, wypoczynek na łonie natury. Jest filatelistą oraz kolekcjonerem staroci.

**MIELESZKO** Sławomir. Lat 52. Żonaty. Żona Elżbieta. Córka Małgorzata (uczennica Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie). Absolwent Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu, Wydział Rzeźby. Od 1975 roku w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS, od 1980 — dyrektor Instytutu. Docent.

Sposób na życie: „Cokolwiek by człowiek powiedział i tak nie będzie to prawdą. Jedyną rzeczą, która nigdy nie zawodzi, jest uczciwa praca; daje dużo satysfakcji, męczy, ale również pozwala odpocząć”. Hobby: wędkowanie.

## W numerze 20. opublikujemy:

- BYŁEM SPEKULANTEM ● TROCHE POLSKI ZA BUGIEM ● PIELGRZYMKA DO POLSKI ● SOŁŻENICYN ● CO CZYTA STUDENT? ● JAKIE UNIWERSYTETY? ● MATURZYSCY ● „SITWA” O MONTE CASSINO ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW ● PRZEDWYBORCZY PEJZAŻ ● KTO JEST KIM? — PRZED WYBORAMI ●